

TANIEC Z CIENIEM

KODEKS MROKU #1



Copyright© Tekst by Joanna Kacprzak
Copyright© Wydawnictwo Golden Wings, 2025
All right reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone, zabrania się kopiowania oraz udostępniania publicznie bez zgody Autora oraz Wydawnictwa pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Redakcja: Joanna Pomarańska
Korekta językowa: Joanna Pomarańska, Małgorzata Wiśniewska
Projekt okładki: Anna Pytlik-Ryś
Łamanie i skład: M. Wiśniewska @fabryka.skladu.ksiazki
Druk i oprawa: Opolgraf SA, www.opolgraf.com.pl
Grafika wektorowa: www.freepik.com

Wydanie I

ISBN: 978-83-974957-6-0

Wyrażamy zgodę na udostępnianie okładki w internecie

Wydawnictwo Golden Wings
Wodzisław Śląski
kontakt@wydawnictwo-goldenwings.pl
www.wydawnictwo-goldenwings.pl

Książka dostępna również w formie e-booka

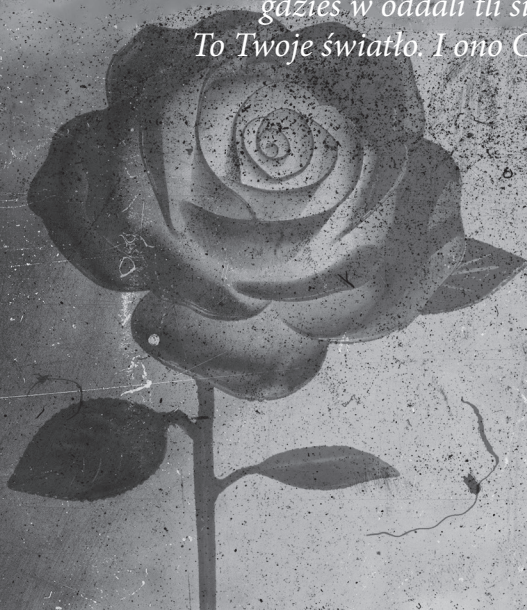
JOANNA KACPRZAK

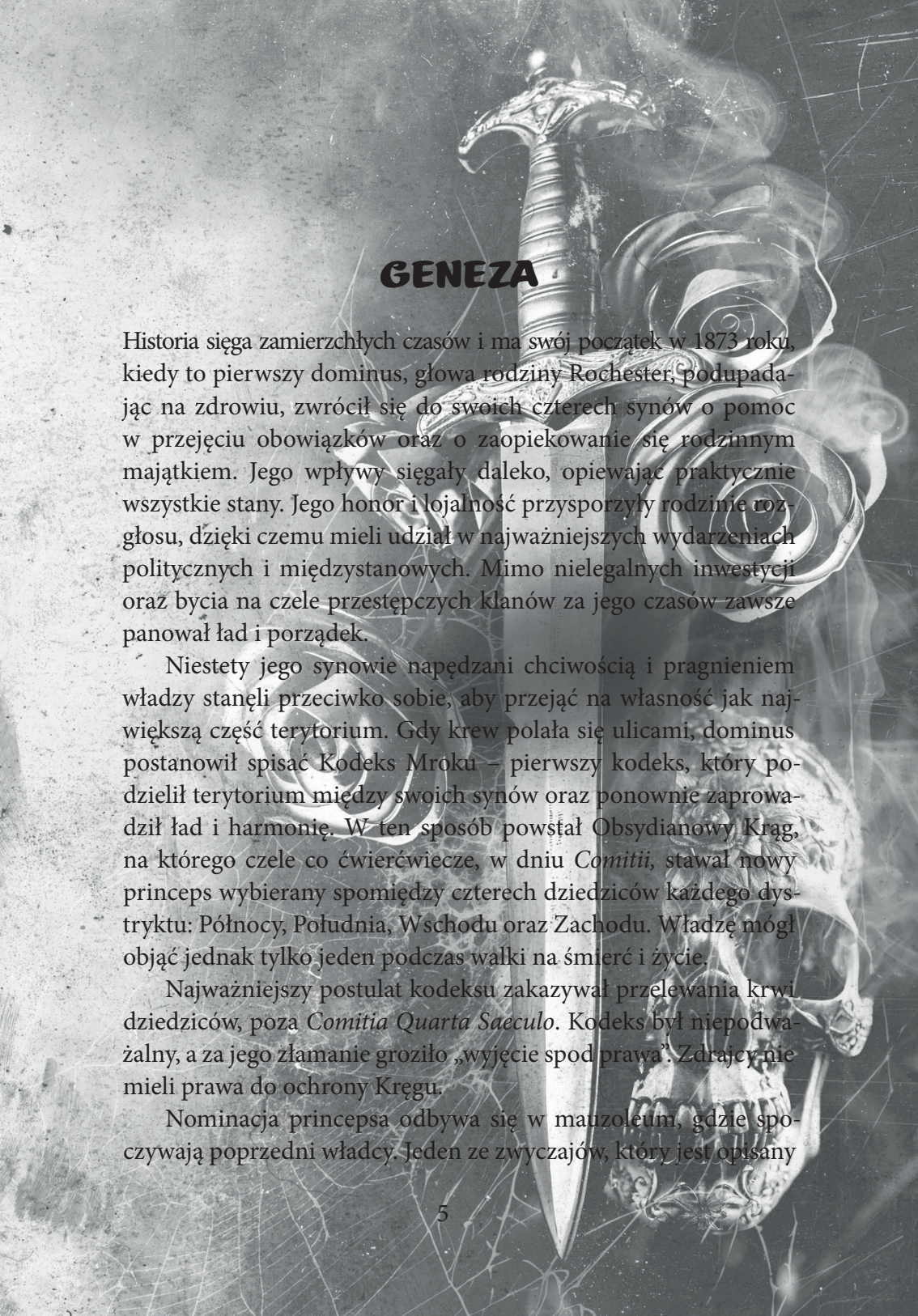
TANIEC Z CIENIEM

KODEKS MROKU #1

*Golden
wings* 

*Dla tych, którzy zagubili drogę w ciemności,
dla tych, którzy myśleli, że nic dobrego już ich nie spotka.
Pamiętaj – nawet w najciemniejszym lesie
gdzieś w oddali tli się światełko.
To Twoje światło. I ono Cię znajdzie.*





GENEZA

Historia sięga zamierzchłych czasów i ma swój początek w 1873 roku, kiedy to pierwszy dominus, głowa rodziny Rochester, podupadając na zdrowiu, zwrócił się do swoich czterech synów o pomoc w przejęciu obowiązków oraz o zaopiekowanie się rodzinnym majątkiem. Jego wpływy sięgały daleko, opiewając praktycznie wszystkie stany. Jego honor i lojalność przysporzyły rodzinie rozgłosu, dzięki czemu mieli udział w najważniejszych wydarzeniach politycznych i międzystanowych. Mimo nielegalnych inwestycji oraz bycia na czele przestępczych klanów za jego czasów zawsze panował ład i porządek.

Niestety jego synowie napędzani chciwością i pragnieniem władzy stanęli przeciwko sobie, aby przejąć na własność jak największą część terytorium. Gdy krew połała się ulicami, dominus postanowił spisać Kodeks Mroku – pierwszy kodeks, który podzielił terytorium między swoich synów oraz ponownie zaprowadził ład i harmonię. W ten sposób powstał Obsydianowy Krag, na którego czele co ćwierćwiecze, w dniu *Comitii*, stawał nowy princeps wybierany spośród czterech dziedziców każdego dystryktu: Północy, Południa, Wschodu oraz Zachodu. Władzę mógł objąć jednak tylko jeden podczas walki na śmierć i życie.

Najważniejszy postulat kodeksu zakazywał przelewania krwi dziedziców, poza *Comitia Quarta Saeculo*. Kodeks był niepodważalny, a za jego złamanie groziło „wyjęcie spod prawa”. Zdraycy nie mieli prawa do ochrony Kregu.

Nominacja princepsa odbywa się w mauzoleum, gdzie spoczywają poprzedni władcy. Jeden ze zwyczajów, który jest opisany

w kodeksie, to wybór oblubienicy lub oblubieńca spośród wszystkich dystryktów. Jest on ostateczny i niepodważalny. Znakami rozpoznawczymi każdego dominusa są czarne togi oraz złote pierścienie noszone podczas zaprzysiężenia. Tylko i wyłącznie princeps ma dostęp do mauzoleum, nosząc zawsze przy sobie klucz. Jego insygnium władzy stanowi obsydianowy medalion na złotym łańcuchu.

Inkantacja, która poprzedza *Comitie*, zapisana jest w kodeksie oraz wyryta na każdym wejściu prowadzącym do siedziby na styku czterech dystryktów. Jest ona świętością i główną domeną każdego członka Kręgu.

*Mrok naszym Panem,
mrok nas jednoczy,
mrok naszym wrogom
będzie krew toczyć.*

SŁOWNICZEK

Comitia Quarta Saeculo (Comitia) – z łac. wybory ćwierćwiecza; uroczysta selekcja nowego princepsa podczas rozlewu krwi wśród dziedziców.

Consiliario – z łac. grupa doradców Kręgu.

Dominus – z łac. baron, władca, głowa rodu danego dystryktu.

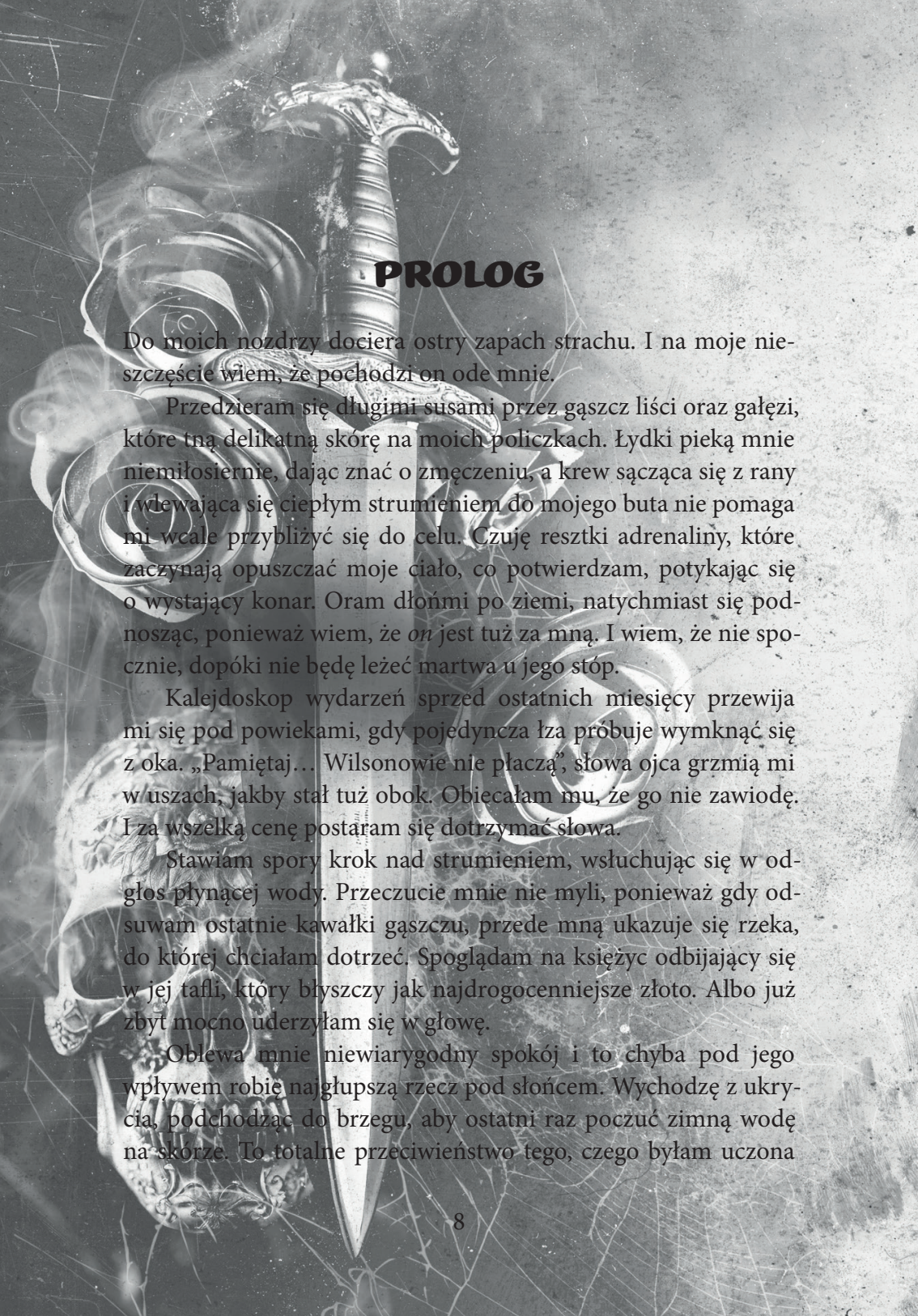
Dystrykt – dzielnica, część terytorium we władaniu danego rodu.

Dziedzic – osoba połączona więzią krwi z dominusem.

Obsydianowy Krąg – społeczność wyznająca ideały Kodeksu Mroku.

Princeps – z łac. książę, opiekun i zwierzchnik wszystkich rodów.





PROLOG

Do moich nozdrzy dociera ostry zapach strachu. I na moje nie-szczęście wiem, że pochodzi on ode mnie.

Przedzieram się długimi susami przez gąszcz liści oraz gałęzi, które tną delikatną skórę na moich policzkach. Łydki pieką mnie niemiłosiernie, dając znać o zmęczeniu, a krew sącząca się z rany i wlewająca się ciepłym strumieniem do mojego buta nie pomaga mi wcale przybliżyć się do celu. Czuję resztki adrenaliny, które zaczynają opuszczać moje ciało, co potwierdzam, potykając się o wystający konar. Oram dłońmi po ziemi, natychmiast się podnosząc, ponieważ wiem, że *on* jest tuż za mną. I wiem, że nie spocznie, dopóki nie będę leżeć martwa u jego stóp.

Kalejdoskop wydarzeń sprzed ostatnich miesięcy przewija mi się pod powiekami, gdy pojedyncza łza próbuje wymknąć się z oka. „Pamiętaj... Wilsonowie nie płaczą”, słowa ojca grzmiały mi w uszach, jakby stał tuż obok. Obiecałam mu, że go nie zawiodę. I za wszelką cenę postaram się dotrzymać słowa.

Stawiam spory krok nad strumieniem, wsłuchując się w odgłos płynącej wody. Przecucie mnie nie myli, ponieważ gdy odsuwam ostatnie kawałki gąszczu, przede mną ukazuje się rzeka, do której chciałam dotrzeć. Spoglądam na księżyc odbijający się w jej tafli, który błyszczy jak najdrogocenniejsze złoto. Albo już zbyt mocno uderzyłam się w głowę.

Oblewa mnie niewiarygodny spokój i to chyba pod jego wpływem robię najgłupszą rzecz pod słońcem. Wychodzę z ukrycia, podchodząc do brzegu, aby ostatni raz poczuć zimną wodę na skórze. To totalne przeciwieństwo tego, czego byłam uczona

przez całe moje życie. Wystawiam się jak sarna prosto przed oblicze łowcy. Jeśli mam jednak zginąć, to zrobię to z dumą i honorem.

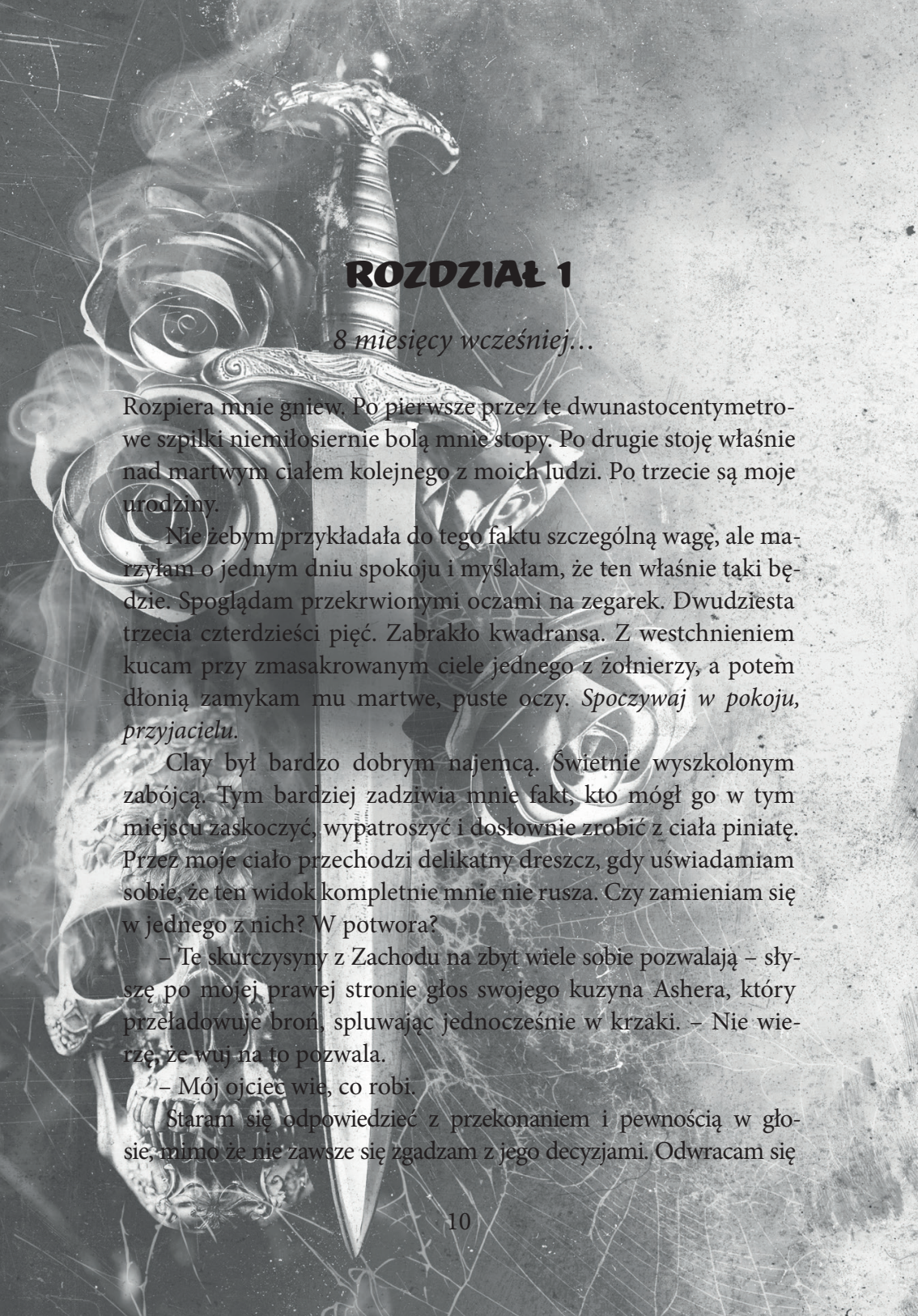
Słyszę odgłos łamanej gałązki za moimi plecami i wiem, że *on* mnie znalazł. I że specjalnie daje mi znać o swojej obecności. Arogancki dupek. Odwracam się w jego stronę, zupełnie się nie spiesząc. Przybieram na twarz maskę nonszalancji i ignorancji, spoglądając w jego stalowe oczy, które jeszcze nie tak dawno patrzyły na mnie z żarem i tęsknotą. Teraz widzę w nich jedynie nienawiść.

I vice versa. Jeśli chcę to przetrwać, muszę wyłączyć wszystkie emocje i stać się bronią. Na pewno nie poddam się bez walki. Sięgam za plecy i wyciągam zimne, czarne sztylety, a potem obniżam kolana, przygotowując się do ataku.

– To jak będzie, kochanie? Kończymy to?

Wiem, że tymi słowami obudziłam właśnie prawdziwego diabła. Jego głos to niski warkot, który wywołuje dreszcz na moich plecach, zwiastując nieuniknione.

– Z przyjemnością.



ROZDZIAŁ 1

8 miesięcy wcześniej...

Rozpiera mnie gniew. Po pierwsze przez te dwunastocentymetrowe szpilki niemiłosiernie bolą mnie stopy. Po drugie stoję właśnie nad martwym ciałem kolejnego z moich ludzi. Po trzecie są moje urodziny.

Nie żebym przykładała do tego faktu szczególną wagę, ale marzyłam o jednym dniu spokoju i myślałam, że ten właśnie taki będzie. Spoglądam przekrwionymi oczami na zegarek. Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Zabrakło kwadransa. Z westchnieniem kucam przy zmasakrowanym ciele jednego z żołnierzy, a potem dłonią zamykam mu martwe, puste oczy. *Spoczywaj w pokoju, przyjacielu.*

Clay był bardzo dobrym najemcą. Świetnie wyszkolonym zabójcą. Tym bardziej zadziwia mnie fakt, kto mógł go w tym miejscu zaskoczyć, wypatroszyć i dosłownie zrobić z ciała piniatę. Przez moje ciało przechodzi delikatny dreszcz, gdy uświadamiam sobie, że ten widok kompletnie mnie nie rusza. Czy zamieniam się w jednego z nich? W potwora?

– Te skurczysyny z Zachodu na zbyt wiele sobie pozwalają – słyszę po mojej prawej stronie głos swojego kuzyna Ashera, który przeładowuje broń, spluwając jednocześnie w krzaki. – Nie wierzę, że wuj na to pozwala.

– Mój ojciec wie, co robi.

Staram się odpowiedzieć z przekonaniem i pewnością w głosie, mimo że nie zawsze się zgadzam z jego decyzjami. Odwracam się

w stronę blondyna, kładąc mu dłoń na ramieniu w geście otuchy.

– Wiem, że byliście jak bracia – mówię, patrząc mu prosto w oczy – i obiecuję, że znajdziemy tego, kto to zrobił, i za to zapłacę. Przypilnuję osobiście, aby był twój podczas egzekucji.

W jego oczach rozpała się żądza krwi i nawet nie chcę wiedzieć, co siedzi mu teraz konkretnie w głowie. Dałam mu jednak nadzieję na zemstę, co uspokoi go na jakiś czas i nie rozpęta wojny, która jest w tym momencie nikomu niepotrzebna.

W mojej kieszeni zaczyna wibrować telefon i nawet nie muszę sprawdzać, kto dzwoni. Przykładam go do skroni, czując przyplływający atak migreny.

– Tak? – Mój głos jest totalnie wyprany z emocji.

– Kiedy będziesz?

– Już się zbieram. Myślę, że za około pół godziny.

– Podejdź, proszę, od razu do mojego gabinetu. – Tembr jego głosu podkreślony jest latami palenia. – Potrzebuję dokładnego raportu.

– Oczywiście. Do zobaczenia.

Rozłączając się bez zbędnego przedłużania. Nie mam pojęcia, od kiedy nasza relacja ojciec – córka zmieniła się w relację szef – żołnierz. Myślę, że zaczęło się to jakieś dwa miesiące temu. Jakby ta magiczna data zmieniła wszystko. Rok. Odliczanie. Każdy wokół omija ten temat, ale w mojej głowie również coś się zmieniło. Zegar tyka. I codziennie, nie dając po sobie niczego poznać, ja też odliczam do dnia, w którym albo skończę trzy metry pod ziemią, albo zostanę głową Obsydianowego Kręgu.

Zostaję wyrwana z zamyślenia przez nawoływanie jednego z generałów. Reszta mężczyźni zapakowała już ciało Claya do ciężarówki, aby go pochować jak należy. Prężnym krokiem podchodzę do generała, pakując się na tył ciężarówki razem z resztą, a nie tak jakby każdy się spodziewał z przodu. Nie jestem księżniczką z wieży i nigdy nie będę. Jestem maszyną, która od urodzenia miała

zapisane w gwiazdach swoje przeznaczenie.

– Szkoda, że przerwali nam zabawę. – Czuję obejmujące mnie ramię, a następnie w moich dłoniach ląduje butelka wódki. – Już myślałam, że uda mi się wyrwać tego przystojniaka z za baru.

– Zapomnij. – Pociągam małe łyeczki. – Ja się nie zakładam, gdy wiem, że nie wygram.

Oczy Avy błyszczą łobuzersko, czym próbuje mnie rozluźnić.

– Daj spokój. – Puszczam do mnie oczko. – Przyznaj, że miałam go w garści.

– Yhym – z moich ust wydobywa się jedynie pomruk, bo myślami jestem już gdzieś indziej.

– Ej! – Szturczę mnie ramieniem. – Co jest?

Spoglądam w bok na moją jedyną przyjaciółkę, która próbuje przebić się przez mur nałożony przeze mnie grubą warstwą. Moje myśli pędzą jak szalone i wiem, że zwariuję, jeśli tego z siebie nie wyduszę. A jeśli nie jej to komu? Wiem, że ona nie wybuchnie szaleńczym śmiechem na moje wątpliwości ani nie zamknie mi drzwi przed nosem jak ta zgraja pajaców, którzy słowa kobiety w tym świecie mają za nic.

– Co myślisz o tych wszystkich zabójstwach, Ava?

– W sensie, czy są ze sobą jakoś powiązane? Oprócz tego, co oczywiste?

Rozglądam się wokół, ale wszyscy są na tyle sobą zajęci, że chyba nikt nie wywali mnie za burtę za moje słowa.

– Czy myślisz, że to faktycznie ludzie z Zachodu chcą nas osłabić przed *Comitia Quarta Saeculo*?

– A któżby inny? – odpowiada automatycznie jak każdy z nas, ale widzę, że trybiki zaczynają jej się kręcić, gdy nie spuszcza z niej wzroku. – Wszystkie znaki wskazują na tego psychola następcę.

Mówi oczywiście o mężczyźnie z Dystryktu Zachodniego, który dostał przydomek Cień ze względu na brutalność morderstw

na jego terenie, podobno przez niego dokonanych, oraz to, że jest nieuchwytny jak... cień. Jest tą postacią z bajek, o której opowiada się dzieciom na dobranoc dla przestrogi, aby nie szwendały się same po nocy. O ironio! To zmora mojej egzystencji. *Oraz prawdopodobnie powód mojej śmierci.*

– Nie wydaje ci się to zbyt... oczywiste?

– Kogo w takim razie podejrzewasz?

– A co jeśli... – urywam, ponieważ te słowa nie chcą mi przejść przez gardło. – Nieważne.

– Vic. – Szczypie mnie w udo. – Gadaj. Póki nie dojechałyśmy jeszcze do domu. I tak to z ciebie wyduszę.

– A co, jeśli to ktoś z naszych?

Ostatnie słowa wypowiadam na wydechu i nie jestem pewna, czy mnie zrozumiała, ale gdy widzę, jak jej oczy się rozszerzają, to już jestem pewna, że zrozumiała przekaz.

– To... to poważna sprawa. – Obraca butelkę w dłoniach. – Masz kogoś konkretnego na myśli? – zniża głos do szeptu.

– Nie – wzdycham. – Po prostu coś mi tu nie gra. Jakby szósty zmysł kazał mi spojrzeć na to wszystko szerzej. Nikt mnie jednak nie posłucha.

– Jeszcze. – Mruga. – Myślę, że pierwsze, co ci jest potrzebne, to odpoczynek. Masz ostatnio zdecydowanie za dużo na głowie. Każdego taka odpowiedzialność by przytłoczyła.

Gówno, dupa i kamieni kupa. Muszę mieć co robić, aby właśnie nie zwariować. Kończę temat ze względu na to, że jesteśmy już prawie na miejscu. Poza tym i tak nie mam na nic na razie dowodów, jedynie szósty zmysł wręcz krzyczy mi z tyłu głowy, abym nie ufała do końca wszystkim dookoła. Najciemniej przecież jest tuż pod latarnią, prawda?

Wyskakuję z auta, po czym udaję się długim podjazdem w stronę domu. Zdaję sobie sprawę, że ojciec oczekuje mnie w gabinecie, ale jeśli nie zmyję z siebie całego tego potu, krwi oraz nie

pozbędę się tych przeklętych szpilek, nie mam zamiaru się przed nikim spowiadać.

Na piętrze zderzam się z czymś niższym ode mnie, co odbija się z łoskotem od mojego ciała, prawie lądując na beżowym dywanie, którym wyłożony jest korytarz.

– Hola! Księżniczko, a gdzie ty się tak śpieszysz? – W ostatniej chwili łapię moją młodszą siostrę za barki, aby nie wyrznęła twarzą w podłogę.

– Cześć, Vic – mówi na wydechu. – Wybacz, zamyśliłam się.

– Tak? Chyba raczej wgapiałaś się w telefon. – Spoglądam na smartfon, którego nieporadnie próbuje schować za plecami. – Kto jest w takim razie tak interesujący, że nie usłyszałaś, że ktoś nadchodzi?

Charlotta spala takiego buraka, że nawet bożonarodzeniowy obrus świąteczny mamy mógłby jej pozazdrościć.

– Z... kumplem?

– Ty się mnie pytasz czy oznajmiasz? – Unoszę brew.

– To nic takiego – wzdycha z frustracją. – Błagam cię, tylko nie mów mamie. Będzie mi suszyła głowę, dopóki jej go nie pokażę, potem wyłoży długi wykład, po czym będzie kazała wybić mi go sobie z głowy i zacznie znowu to całe swoje swatanie...

Włącza się jej słowotok, który szybko przerywam, unosząc dłoń.

– Nie musisz mi się tłumaczyć, tylko...

– ...a oni są wszyscy tacy sztywni!

Prawie parskam śmiechem, gdy widzę, jak ta szesnastolatka tupie nogą jak pięciolatka, ale nikt bardziej niż ja jej w tym momencie nie rozumie. Wiem, co ją czeka, ponieważ sama przez to przesłam, a pragnę jej tego oszczędzić tak długo, jak tylko zdołam.

– Nic nie powiem, obiecuję. Tylko pamiętaj: miej oczy szeroko otwarte i nie daj się zaskoczyć.

– Się robi, szefowo. – Salutuje mi.

Już mam odejść w stronę swojego pokoju, gdy przypomina mi

się jedna rzecz, którą dziś miałam załatwić.

– Ej! Widziałas, gdzieś Jasona?

– To, że jesteśmy bliźniakami nie oznacza, że wiem, gdzie przebywa – jęczy, jakby po raz setny usłyszała to pytanie tego dnia. – Nie widziałam go cały dzień. Pewnie zaszył się w sali treningowej albo robi... coś. – Marszczy nos. – Nawet nie chcę sobie wyobrażać co.

– Gdybyś go jednak spotkała, powiedz mu, że go szukam.

– Ustaw się w kolejce.

Odchodzi, podśpiewując pod nosem, a gdy jej wzrok pada na ekran smartfona, na jej twarzy pojawia się promienny uśmiech. Patrząc na nią, w mojej piersi rozkwita coś w rodzaju nostalgii, tęsknoty i... żalu? Nie. Nie mogę myśleć w ten sposób. Chętnie wezmę na siebie całe to brzemię, oby tylko moje rodzeństwo mogło mieć w miarę normalne życie.

Gdy wchodzę do przestronnej łazienki przylegającej do mojej sypialni, moje myśli wędrują w stronę, gdzie nigdy nie powinny się zapuszczać. Ponieważ gdy masz na nazwisko Wilson, nie wolno ci marzyć.

Moje życie zostało napiętnowane oraz zapisane co do joty w momencie, gdy wzięłam pierwszy oddech. Rozbieram się z przylegającej do ciała czarnej sukienki oraz zrzucam buty, na co moje ciało aż jęczy z błogiej ulgi. Nigdy więcej takich ekscesów, nawet w dniu urodzin. Wchodzę pod prysznic, nie czekając aż woda się nagrzej i zmywam z siebie brud dzisiejszego długiego dnia. Opieram się dłońmi o kafelki, patrząc, jak do brodzika spływa czerwono-brunatna smuga. Krew kolejnego poległego żołnierza. W takim tempie do czasu wyborów nie zostanie nas wielu.

Staram się rozluźnić spięte mięśnie karku i przygotować mentalnie na kolejną rozmowę z ojcem, co jak miemam, skończy się kilkugodzinną debatą na temat kolejnych działań w zakresie naszej obrony oraz odwetu.

Niemniej jednak nie wiem, czy to wynik moich urodzin, czy

tykającego zegara nad moją głową, ale na moich barkach osiada coś w rodzaju przygniatającej beznadziei, na którą pozwalam sobie jeszcze przez dwie minuty. Jakby to było, poczuć ten dreszczyk ekscytacji w momencie poznania kogoś nowego? To palące uczucie poderwania się motyli w brzuchu. Przypominam sobie uśmiech Charlotty i lekka nutka zazdrości przeszywa moją pierś. Kiedy ja byłam tak beztroska? Zaciskam zęby, prawie przegryzając delikatną skórę na dolnej wardze, a następnie wychodzę spod prysznicza.

Koniec tego. Czas wziąć się do roboty i wrócić do prawdziwego życia. Wciągam na tyłek legginsy, termoaaktywną koszulkę z krótkim rękawem, a wilgotne jeszcze włosy związuję w wysoki kucyk. Rzucam jedynie przelotne spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, stwierdzając, że nic się nie zmieniło. Minął tylko następny rok.

– Wszystkiego najlepszego, Victorio.

Worek kołysze się na boki, gdy wymierzam w niego kolejne uderzenie. Kolejne. I kolejne. Wykonuję mocny wykop, prawie go zrzucając z przytwierdzonego łańcucha. Niech to wszystko szlag trafi. Spoglądam na zegarek przytwierdzony na ścianie...czwarta trzydzieści. Pięknie. Może uda mi się zmęczyć na tyle, aż w końcu zasnę.

– Czy mogę się dowiedzieć, co ty bierzesz, że o tej godzinie jesteś na nogach?

– Zło nigdy nie śpi – odpowiadam przybyszowi, nawet się nie odwracając.

Słyszę parsknięcie.

– No tak. Byłbym zapomniał. Możesz się podzielić jednak dozą tej energii, jeśli chcesz. Mały sparing?

Spoglądam na Tylera, który właśnie ściąga koszulkę przez

głowę i zaczyna owijać sobie dłonie.

– Czemu nie.

Jestem tak nabuzowana, że mogłabym przerzucać drzewa. Chętnie i jego powalę na ziemię. Wchodzę na ring ustawiony w progu pomieszczenia, podskakując na palcach. Tyler nic nie mówi, tylko ustawia gardę wysoko, przywołując mnie palcem. Okrążam go, próbując wyczuć jego następny ruch. Wystawia prawą nogę delikatnie do przodu, a ja w odpowiednim momencie paruję jego cios. Bez chwili zawahania wyprowadzam serię, przebijając się w końcu przez jego gardę i trafiam w podbródek. Idealnie.

Chyba lekko go tym wkurzam, bo w końcu przestaje się ze mną cackać i zaczyna walczyć na poważnie. Wymieniamy się cios za cios. Tyler jest doskonałym partnerem do sparingów, ponieważ traktuje mnie jak równą sobie. Udaje mi się w końcu podciąć mu nogi, przez co jego wielkie ciało zwała się z łoskotem na ziemię. Dostakuję do niego, a jemu brakuje ułamka sekundy, żeby mi uciec. W naszym świecie to dużo. Taki ułamek sekundy może zaważyć o twoim życiu. Wykręcam mu rękę do tyłu, jednocześnie przykładając kolano do szyi. Czekam, aż odklepie. Uparty sukinot. Dociskam mu szyję mocniej do maty, aby odciąć mu dopływ tlenu. W końcu, klnąc pod nosem, uderza dłonią w matę.

Z uśmiechem zadowolenia na twarzy sięgam po wodę oraz ręcznik, którym wycieram sobie twarz. Tego właśnie potrzebowałam.

– Czasami wkurwia mnie to, że jesteś taka dobra. – Ty opiera się o narożnik ringu, siadając na ziemi. – Ale walka z tobą to sama przyjemność.

– To najmiłsza rzecz, jaką ostatnio usłyszałam, dziękuję.

Kłaniam się teatralnie, po czym dołączam do niego, siadając po turecku.

– Ava śpi? – pytam, pociągając łyk wody.

– Każdy normalny człowiek śpi o tej porze.

Spoglądam na niego z pobbżaniem.

– Nie powiedziałem, że ja jestem normalny. – Wyszczorza zęby w uśmiechu, a potem w jego spojrzeniu pojawia się powaga. – Nie mogłem spać. Kręciłem się z boku na bok, aż uznałem, że potrenuję, bo w końcu obudziłbym Avę. Przyda się jej sen.

– Zdecydowanie. Ostatnie dni były... ciężkie.

– Akurat tobie mogę w to uwierzyć. – Widzę chwilę zawahania w jego następnych słowach. – Idziemy na front?

Pyta oczywiście, czy weźmiemy odwet za Claya, na co chyba każdy z oddziału liczy.

– Tak – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ojciec dał nam zielone światło.

Skubię etykietkę butelki, nie patrząc mu w oczy.

– Nie jesteś, chyba, co do tego przekonana?

– Czemu tak myślisz?

– Ponieważ jestem twoją prawą ręką i praktycznie wychowaliśmy się razem. – Kopie mnie w udo. – Wiem, że z Avą jesteście bliżej, ale mi też możesz powiedzieć wszystko. Gdzie się podziała w tobie ta iskra, Wilson?

– Tli się, ale została przygaszona przez morze krwi z ostatnich miesięcy – chrząkam, bo i tak powiedziałam za dużo. Żołnierze w dowódcy mają widzieć siłę oraz ostoję, nie strach i wątpliwości. – Spokojnie, wiem, co powinniśmy zrobić i rozniecę ją z powrotem.

– Każdy ma prawo mieć słabszy dzień. To nic złego.

– Nie ja.

– Victoria, nie możesz...

– Tylko ja mam prawo decydować, co mogę, a co nie. – Wiem, że to zabrzmiało chamsko. – Słuchaj, po prostu mam dosyć słuchania od wszystkich złotych rad. Nikt z was nie jest na moim miejscu i nie będzie. Wiem, co robię. I obiecuję, że zrobię to, co do mnie należy. Pogrzeb Claya odbędzie się we wtorek.

Tymi słowami kończę naszą krótką pogawędkę i schodzę

z ringu. Muszę się przewietrzyć. Mijam na korytarzu dwa patrole, które składają się z trzech osób. Każdy na mój widok kiwa mi głową z szacunkiem. Odpowiadam tym samym gestem, kierując się do garażu. Szukam kluczyków do swojego starego Camaro, postanawiając się przejechać.

Ruszam z podjazdu z piskiem opon i zatrzymuję się dopiero przy mosiężnej bramie, czekając, aż się otworzy. Wiem, że nie powinnam jechać bez żadnej obstawy, ale jest na tyle wcześnie, że mało kto zauważy moją nieobecność.

Z głośników rozbrzmiewa Guns N'Roses, a ja przez ten krótki moment, gdy wciskam pedał gazu maksymalnie w podłogę, nie myślę o niczym. Liczy się tylko ta chwila wolności, gdy wokół mnie rozmywają się drzewa, a przede mną jest tylko długa kręta droga. Wchodzę z piskiem w zakręty, operując skrzynią biegów, a adrenalina rozmywa moje wszystkie wątpliwości z ostatnich dni.

Zatrzymuję się dopiero po czterdziestu minutach na granicy z Dystryktem Zachodnim. Gaszę silnik i bez trwogi wychodzę na zewnątrz, kierując się w kierunku pobliskich skał. Wystarczy pięć minut spokojnego spaceru, aż w końcu znajduję się w moim ulubionym miejscu. Staję nad krawędzią klifu, patrząc w dół na rozbijający się w dole ocean. Słońce wschodzi pomarańczowym płomieniem nad horyzontem, a ja siadam na zroszonej poranną rosą trawie, pragnąc zapamiętać ten moment. Nigdy nie robię zdjęć. Najlepsze wspomnienia zachowuję w głowie.

Wciągam głęboko rześkie powietrze w płuca, w końcu czując, jak odzyskuję równowagę. Gdzieś wraz z szumem drzew docierają do mnie słowa ojca z naszej niedawno odbytej rozmowy: „Musisz nauczyć się być królową. Nie zginiesz. Masz na nazwisko Wilson, a my nigdy nie przegrywamy”.

To prawda nazywam się Victoria Ivy Wilson. I zabiję każdego, kto stanie mi na drodze. Byłam do tego szkolona całe życie, ponieważ jestem pierworodną Christophera Wilsona. A każdego z nas

obowiązuje kodeks.

Kodeksu nie można złamać.

Kodeks to świętość.

Za naruszenie zasad jest tylko jedna konsekwencja – śmierć.

Gdy pierwszy raz usłyszałam o kodeksie, miałam zaledwie siedem lat. I wtedy jeszcze nie wiedziałam, jakie on ciągnie konsekwencje oraz poświęcenie zarówno dla mnie, jak i dla mojej rodziny. Mama, aby łatwiej było mi to przyswoić, opowiedziała to na początku jako bajkę. O złych ludziach, którzy nieśli za sobą śmierć. O niekończącym się rozlewie krwi, który trzeba było przerwać.

Wszystko zaczęło się ponad wiek temu, kiedy pierwszy dominus ówczesnej rodziny na łożu śmierci spisał kodeks i podzielił nasz teren na cztery dystrykty. Jego synowie zwrócili się przeciwko sobie w walce o władzę, gdy każdy z nich, napędzany chciwością, pragnął całości terenu tylko dla siebie. W ten sposób zapobiegł rozlewowi krwi, a w kolejnych latach wprowadzono zwyczaj *Comitii*, który co ćwierćwiecze dokonywał wyboru princepsa.

Ja jestem księżniczką Południa. Zajmujemy się głównie przemytami narkotyków z Meksyku, co daje nam ogromną przewagę i drugą, na tę chwilę, pozycję w Kręgu.

Pierwsi są ludzie z Zachodu, którzy mają wpływy nawet poza swoimi granicami, a pogłoski mówią, że są powiązani z brazylijską mafią. Ich człowiek jest przywódcą Kręgu oraz obecnym princepsem. Jego dziedzic zaś jest podobno jeszcze gorszy od niego. *Jeśli oczywiście nim zostanie.*

Na Wschodzie oraz Północy zajmują się głównie przemytem broni i pomniejszych przerzutami kokainy, ale w ostatnim czasie doszły nas słuchy, że Północ zajęła się handlem ludźmi, od czego dekadę temu odeszliśmy. Jeśli będę miała taką możliwość, to przyjrę się temu, i jeśli to okaże się prawdą, szybko to ukróczę. Biznes to biznes, ale handel żywym towarem to już czyste przegięcie.

Wszystko brzmiałoby całkiem rozsądnie, ponieważ nikt nie

wchodzi sobie w drogę, ale chyba w każdej bajce występuje jakiś wilk, prawda? Otóż założyciel Obsydianowego Kręgu nie był do końca zdrowy na umyśle, spisując niektóre zasady kodeksu. Mam na myśli jeden z postulatów, który może mocno skomplikować życie. Co ćwierć wieku, według kodeksu, jest możliwość zmiany władzy, aby nie doszło do buntów ani żadnej wojny między rodzinami, co skończyłoby się niechybnie rozlewem krwi.

Zapisano więc zasadę, że każdy dominus ma prawo wystawić raz na dwadzieścia pięć lat swojego dziedzica – który z założenia jest pierworodnym – aby starał się on o zmianę władzy. Tylko że z zaprezentowanej czwórki może przeżyć tylko jeden.

Pieprzone „Igrzyska śmierci” zanim zaczęły być modne i nakręcono o tym film.

Oczywiście nie mamy żadnej trybuny ani niczego takiego. Nie robimy sobie z tego spektaklu. Po prostu w dniu *Comitii* wpuszczają nas do lasu i czekają, aż jeden z nas wybiję wszystkich pozostałych. Tej nocy honorowe reguły nie obowiązują. Kodeks oczywiście, ale oprócz tego, że dziedzic powinien być pełnoletni – chyba że dominus nie ma żadnego innego przedstawiciela – nie ma żadnej innej zasady. Dziedzic musi być również połączony krwią rodzinną z obecnym dominusem.

Ojciec modlił się, gdy moja matka zaszła w ciążę, aby to był syn. Niestety zbyt długo potem nie mogła zająć w ciążę, a gdy się urodziły bliźniaki, było o dwa lata za późno. Jason ma dopiero szesnaście lat, a gdyby nawet był pełnoletni, nie pozwoliłabym mu w tym wziąć udziału. Zrobię wszystko, aby ich ochronić. Nawet za cenę mojego życia.

To nie tak, że w siebie nie wierzę. Jestem naprawdę dobra, a pierwszy raz musiałam zabić w wieku piętnastu lat, gdy ojciec wysłał mnie na trzyletni trening w pobliżu Alaski. Te lata w Gułagu będę pamiętać do końca życia. Nikt cię jednak nie ostrzega, że w momencie odebrania komuś życia, tracisz część swojej duszy

i człowieczeństwa. Jestem dowódcą oddziału egzekutorów i mało kto jest w stanie mnie pokonać. Tylko że... bardzo rzadko zdarzają się podczas wyborów kobiety. Wygrała, z tego, co wiem, tylko jedna. Moja idolka, czyli moja prababcia. Straciliśmy jednak władzę dwadzieścia pięć lat temu, gdy mój wuj zmarł podczas pojedynku, a że w momencie śmierci nie miał żadnych potomków, to mój ojciec został głową rodziny.

Teraz to na moich barkach spoczywa brzemię, abyśmy znów stanęli na czele. Dlatego żadnego dnia nie biorę za pewnik i cieśzę się z takich właśnie momentów jak ten, gdy słońce ogrzewa mi twarz, a chłodna rosa pokrywa skórę na nogach. Chcę poczuć jednocześnie wszystko naraz, abym niczego nie żałowała w razie gdyby...

Potrząsam głową, ponieważ te wczorajsze dwudzieste czwarte urodziny musiały mi mocno namieszać w głowie. Będę trenować jeszcze częściej, aby zdobyć nad resztą przewagę. Z powracającą pewnością siebie wypinam pierś do przodu, podnosząc się z mokrej gleby i otrzepując legginsy. Pora wracać i zebrać zespół na naradę.

Ostatni raz spoglądam za siebie, na wschód słońca, po czym ruszam w drogę powrotną. Mam nadzieję, że w domu wszyscy jeszcze śpią, ponieważ nie mam ochoty słuchać niczych wykładów.

Jestem prawie na końcu wąskiej ścieżki, gdzie ukryłam auto, gdy słyszę okropny zgrzyt metalu oraz trzask, który sprawia, że padam na ziemię. Dopiero po paru sekundach orientuję się, że nikt do mnie nie strzela, a dźwięk nadszedł z dalszej odległości. *Zostaw to, Vic. Bierz auto i uciekaj stąd.*

Zdrowy rozsądek ma oczywiście rację, ale jakaś niewidzialna siła każe mi sprawdzić, co się tam wydarzyło. Widzę jakieś jasne światło na skraju drzew, więc nie wychodząc na ulicę, idę przez zagajnik, starając się nie wychylać. Im bliżej tego miejsca się znajduję, tym czuję ostrzejszy zapach palonego metalu oraz... benzy-ny?

Wychylam się zza zarośli, a widok, który zastaję, wbija mnie w ziemię. Auto na zboczu drogi leży na dachu, paląc się. Nie widzę nikogo wokół, więc postanawiam ostrożnie podejść bliżej, aby sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy.

Przecucia mnie nie myliły, ponieważ gdy podchodzę do auta, od strony kierowcy widzę zakleszczonego, nieprzytomnego mężczyznę. Reaguję instynktownie i z chęcią pomocy wsadzam głowę głębiej do środka. Sprawdzam puls kierowcy i na szczęście się okazuje, że żyje.

Wyciągam sztylet, który prawie zawsze noszę przy udzie, a następnie staram się przeciąć pasy bezpieczeństwa. Muszę się nieźle wysilić, ale wreszcie zabezpieczenie puszcza, a bezwładne ciało mężczyzny osuwa się w dół, prawie prosto w moje ręce. Napinam wszystkie mięśnie, łapiąc go pod pachy i próbując wyciągnąć z auta. *Cholera, ten goryl waży chyba z tonę.*

Niepokojąc się o ten zapach benzyny, wykorzystuję całą swoją siłę i w końcu, Boże, w końcu udaje mi się go wyciągnąć. Ciągnę jego ciało po poboczu, jak najdalej od auta, w razie wybuchu, a potem sprawdzam jego stan.

Klnę głośno pod nosem, gdy nie wyczuwam pulsu pod palcami, więc zostawiam go na plecach, rozpoczynając reanimację.

– Nie zrobisz mi tego, gościu! – Wykonuję uciśnięcia w okolicy jego mostka. – Bóg ma wystarczająco już ludzi u siebie. No dawaj!

Wykonuję dwa wdechy, po czym wracam z powrotem do uciśnięć. Do mojego umysłu zaczyna się wkradać panika, że mimo tego, iż wypadek nie był moją winą, to jednak będę miała go na sumieniu. Wykonuję jeszcze dwa wdechy, będąc zła na siebie, że nie wzięłam ze sobą komórki.

Kamień spada mi z serca, gdy nieznajomy w końcu łapie oddech i otwiera oczy. Udało się. Zdezorientowany rozgląda się dookoła, normując oddech, a jego wzrok pada w końcu na mnie.

Już mam zamiar się odezwać i go uspokoić, ale odbiera mi

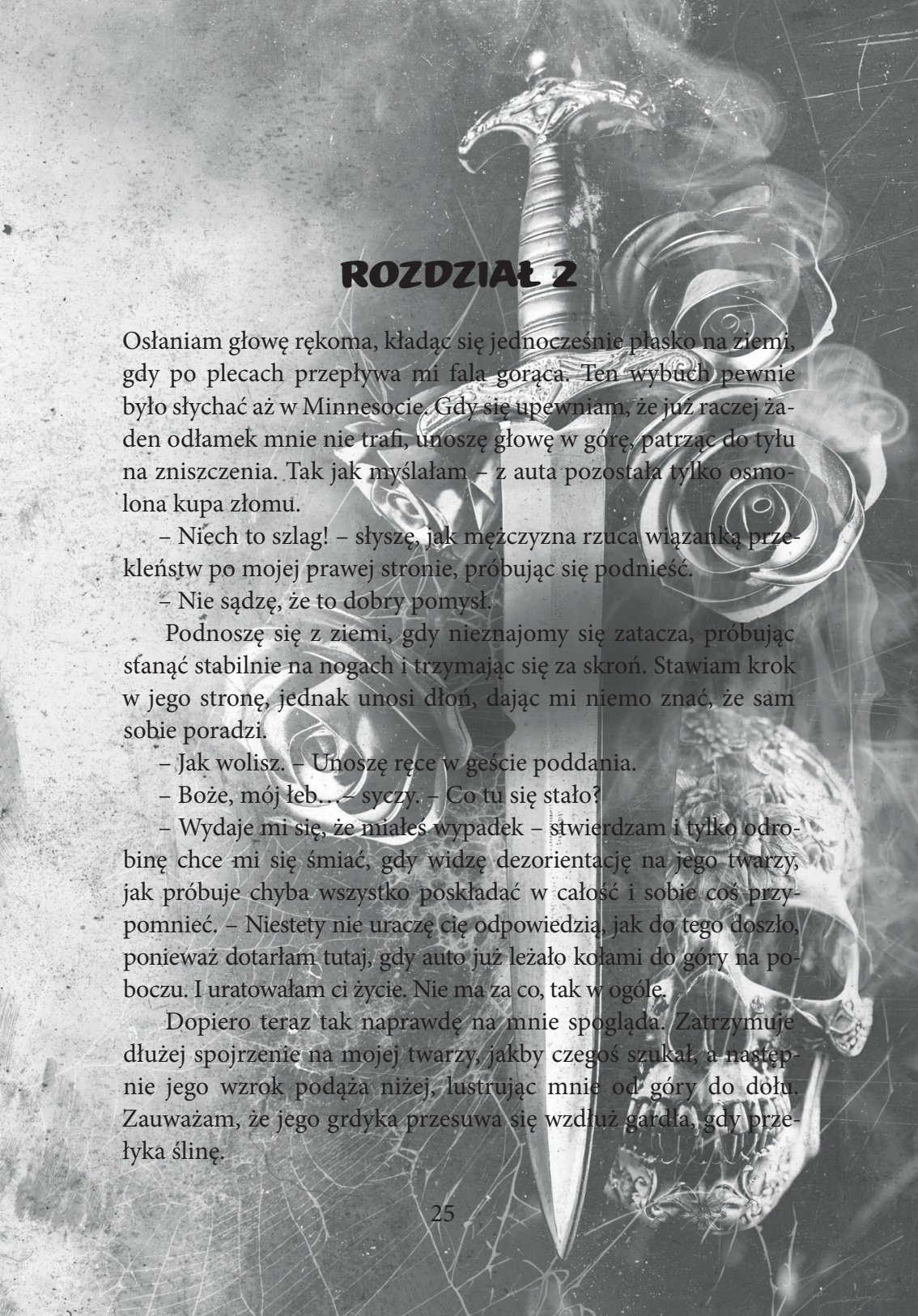
przez chwilę mowę, gdy spotykam się z tęczaówkami koloru najżywszej zieleni, jakie miałam okazję widzieć. Jakby ktoś zawiązał supeł w żołądku i wepchnął teraz w gardło. *Mam przechłapanie.*

– Kim... kim jesteś? – Jego zachrypnięty głos atakuje moje zmysły.

Otwieram usta, otrząsając się z tego dziwnego uczucia, aby mu odpowiedzieć.

Niestety o ułamek sekundy za późno, ponieważ w tym momencie ziemią wstrząsa mocny wybuch auta za moimi plecami.

Dzisiejsze wyjście może się okazać najgorszą decyzją w moim życiu.



ROZDZIAŁ 2

Oslaniam głowę rękoma, kładąc się jednocześnie płasko na ziemi, gdy po plecach przepływa mi fala gorąca. Ten wybuch pewnie było słychać aż w Minnesocie. Gdy się upewniam, że już raczej żaden odłamek mnie nie trafi, unoszę głowę w górę, patrząc do tyłu na zniszczenia. Tak jak myślałam – z auta pozostała tylko osmolona kupa złomu.

– Niech to szlag! – słyszę, jak mężczyzna rzuca wiązką przekleństw po mojej prawej stronie, próbując się podnieść.

– Nie sądzę, że to dobry pomysł.

Podnoszę się z ziemi, gdy nieznajomy się zatacza, próbując stanąć stabilnie na nogach i trzymając się za skroń. Stawiam krok w jego stronę, jednak unosi dłoń, dając mi niemo znać, że sam sobie poradzi.

– Jak wolisz. – Unoszę ręce w geście poddania.

– Boże, mój leś. – syczy. – Co tu się stało?

– Wydaje mi się, że miałeś wypadek – stwierdzam i tylko odrobinę chce mi się śmiać, gdy widzę dezorientację na jego twarzy, jak próbuje chyba wszystko poskładać w całość i sobie coś przypomnieć. – Niestety nie uraczę cię odpowiedzią, jak do tego doszło, ponieważ dotarłam tutaj, gdy auto już leżało kołami do góry na poboczu. I uratowałam ci życie. Nie ma za co, tak w ogóle.

Dopiero teraz tak naprawdę na mnie spogląda. Zatrzymuje dłużej spojrzenie na mojej twarzy, jakby czegoś szukał, a następnie jego wzrok podąża niżej, lustrując mnie od góry do dołu. Zauważam, że jego grdyka przesuwą się wzdłuż gardła, gdy przełyka ślinę.

– To... – chrząka – cóż... dziękuję.

Lustruję go wzrokiem w poszukiwaniu jeszcze jakichkolwiek obrażeń, przynajmniej na początku tak sobie wmawiam. Potem mój wzrok zaczyna z uznaniem przesuwac się po jego ciele. W tej sytuacji jest to bardzo nieodpowiednie z mojej strony, ale nigdy nie byłam świętoszką.

Jest ode mnie wyższy o jakieś dziesięć, piętnaście centymetrów. Jego czarna koszulka opinająca mięśnie ładnie podkreśla to, jaki jest wysportowany. Ciemne włosy ma idealnie przystryżone przy skroniach, a kwadratową, mocną szczękę pokrywa kilkudniowy zarost. Chyba zauważył, że mu się przyglądam, ponieważ gdy spotykam się ponownie z jego oczami, unosi brew do góry. Lekko pąsowieję, ale nie mam zamiaru przeproszać.

– Czujesz jakieś zawroty głowy? Cokolwiek? Mam ci pomóc dostać się do szpitala albo po kogoś zadzwonić?

– Dam sobie radę – odburkuje.

– Cóż... skoro tak mówisz. – Nie mam zamiaru na siłę się narzucać, ważne, że nie mam go na sumieniu. – W takim razie powodzenia.

Ruszam wzdłuż ulicy, mijając go po drodze. Jestem może dwa kroki za nim, gdy słyszę kolejne przekleństwo, a potem czuję delikatny, lecz stanowczy dotyk w okolicy łokcia. Muszę napiąć wszystkie mięśnie, aby instynktownie nie odwrócić się i nie zaatakować.

– Poczekaj. Wybacz. To nie miało tak zabrzmieć.

Jak magnes jego wzrok przyciąga mnie do niego, a im dłużej wpatruję się w jego męską twarz, tym bardziej po moim ciele roznosi się mrowienie, którego nie jestem w stanie zrozumieć.

– Jestem ci bardzo wdzięczny za uratowanie życia – mówi, wpatrując się we mnie. – Dziękuję. Jeśli mógłbym ci się jakoś odwdziżyć, to mów śmiało.

Czemu jego dłoń nadal jest na moim łokciu?

– Raczej nie chcę sprawdzać teorii, czy dobrze przeszedłeś kurs pierwszej pomocy, rzucając się pod samochód.

Kącik jego ust unosi się w kpiącym uśmiechu.

– Nie narażaj mnie na taki stres. Chciałbym jednak jakoś spłacić dług.

Spłacić dług. Nie wiem, czemu te wyrwane z kontekstu słowa tak bardzo mnie porażają, ale otrząsam się nagle jak z jakiegoś transu, tworząc między nami dystans. Pora wrócić do rzeczywistości.

– Myślę, że to nie będzie konieczne. – Chowam dłonie w kieszeniach, zrywając kontakt wzrokowy. – I tak prawdopodobnie już nigdy więcej się nie zobaczymy. Uznaj to za dodatkowy bonus od losu i dobrze go wykorzystaj.

Odwracam się od niego, czując jak brakuje mi powietrza, i gdy myślę, że to już koniec, jego głos ponownie wypełnia przestrzeń między nami.

– Mogę przynajmniej poznać twoje imię?

Pozwalam sobie ostatni raz na niego spojrzeć i zapamiętać jego obraz, tak samo jak przed paroma minutami wschód słońca.

– Victoria – odpowiadam bez namysłu. – Mam na imię Victoria.

– Victoria – wypowiada moje imię szeptem, jakby smakował je na języku. – Jeszcze raz dziękuję.

Jestem już wystarczająco daleko od niego, zbaczając w stronę lasu, gdy wiatr niesie słowa, które chyba musiałam sobie wyobrazić.

– I do zobaczenia.

Strażnik już czeka na mnie przy bramie, gdy przejeżdżam przez podjazd. Przez ten cały wypadek zeszło mi dłużej, niż powinno, i teraz będę miała przesrane. Czyli będę musiała najpierw wysłuchać wykładu, a potem przytaknąć dla świętego spokoju.

– Gdzie jest? – pytam młodego chłopaka, którego imienia jeszcze nie pamiętam, ponieważ wstąpił w zeszłym tygodniu do oddziału.

– W jadalni. Wszyscy jedzą śniadanie – odpowiada mi uprzejmie, stojąc na baczność.

– Świetnie, nie ma to jak wspólny posiłek z rodziną – wzdycham. – Możesz już złapać oddech, żołnierzu, mam dosyć ratowania ludzi na dziś.

Odstawiam Camaro na miejsce, a potem poprawiam kucyk, aby mama nie zarzucała mi, że wyglądam jak ostatni menel; po czym wychodzę z garażu, kierując się niespiesznym krokiem ku jadalni.

Nasz dom właściwie nie jest domem, lecz pałaco-fortecą. Ma dwie wielkie kondygnacje, dwa skrzydła, około dziesięciu sypialni, a w piwnicach jest prawie tyle samo cel dla więźniów. Marmury biją chłodem, gdy przechodzę przez ogromny korytarz, a kiedy zbliżam się do kuchni, wielki kryształowy żyrandol rozprowadza cienie po ścianach. Kiedyś uwielbiałam się bawić w tych murach w chowanego. Znaleźć się nawzajem w takim budynku, to była zabawa na cały dzień.

Gdy wchodzę do pomieszczenia, w którym moja rodzina właśnie spożywa śniadanie, wszystkie rozmowy cichną. Spoglądam najpierw na moje rodzeństwo. Charlotta ma przerażone spojrzenie i wskazuje po cichu na miejsce obok siebie, za to Jason pokazuje mi śnieżnobiałe zęby i wystawia kciuki w górę. Ojciec patrzy wkurzonym wzrokiem znad gazety, a mama wcina z zadowoleniem jajka, jakby nic się nie działo. Normalna niedziela u Wilsonów. Czyli wszystko w normie.

– Dzień dobry, kochani – świergotam i podchodzę do mamy, aby pocałować ją w policzek. – Świetna sukienka – prawię jej komplement, przy czym kradnę kawałek boczkusa z jej talerza.

– Ej! Łapy przy sobie! – fuka. – To nie przystoi damie, zachowujesz się jak świnia, Victorio! – beszta mnie ze śmiechem w głosie.

– Tak, ja ciebie też kocham. – Cmokam w powietrze, a potem wciągam boczek.

Siadam obok siostry, a następnie nakładam sobie na talerz tosty, warzywa oraz ser. Kocham ser. Nalewam sobie kawy z dzbanka. Ojciec nadal ma kija w tyłku, a jego ostre spojrzenie wwierca mi się w bok głowy.

– Gdzie byłeś? – zaczyna spokojnym tonem.

– No to było miło...

– Może tak być. Po prostu odpowiedz.

– Nie. – Zostawiam widelec na talerzu. – Ponieważ nie spodoba ci się moja odpowiedź.

Zaciska powieki, jakbym przyprawiała go o migrenę.

– Córkę – warczy przez zęby i używa tego samego tonu, kiedy miałam pięć lat i myślałam, że muchomory są jadalne. – Już nieważne, gdzie konkretnie byłeś. Czy nie masz wystarczająco dużo szarych komórek, aby wziąć ze sobą ochroniarzy?

– A nie mówiłam...

– Christopher! Nie w niedzielę!

Parskam śmiechem. Jakby w inne dni było w porządku, ale niedziela to świętość, a dzień święty trzeba święcić.

– Ojciec. Sam mnie szkolisz i powinienesz wiedzieć najlepiej, że dam sobie radę.

– To nie zmienia faktu, że...

– Że jestem dorosła, a jeśli za pół roku nie umrę, to będziesz się musiał przyzwyczaić, że nie będziesz mógł mi mówić, co mam robić.

Mówię te słowa z pełną rozważą i uzyskuję pożądany efekt.

Przy stole robi się cicho jak makiem zasiał. Kontynuuję swój posiłek, przełykając kolejny kęs tost. Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się w tym momencie jak zimna suka. Wiem, że dla mojej rodziny ten temat również nie jest łatwy i bardzo ich takimi słowami krzywdzę.

Nie jestem osobą, która zawsze zachowuje się taktownie i grzecznie, aby tylko przypadkiem kogoś nie urazić. To nie w moim stylu. Kocham moją rodzinę całym sercem i jestem gotowa dla nich zabić oraz zginąć. Jednak inne sposoby na zachowanie chociaż odrobiny kontroli nad moim życiem nie działają.

– To nie było konieczne. – Ojciec rzuca niedoczytaną gazetę na stół. – Jak skończysz posiłek, to zajrzyj do mnie. Podam ci szczegóły dotyczące dzisiejszych transakcji z towarem, a wieczorem masz być w domu. Będziemy mieć gościa na kolacji.

Z tymi słowami zostawia nas przy stole, a ja czuję, jak uchodzi ze mnie powietrze. Rozglądam się wokół stołu, aż w końcu zawieszam wzrok na portrecie wiszącym naprzeciwko mnie na beżowej ścianie.

– Wybaczcie, że zepsułam śniadanie. – Odchrząkuję, gdy jakaś niewidzialna gula zatyka mi gardło. – Nie chciałam, żeby tak wyszło.

– Zwykła niedziela u Wilsonów. – Jason próbuje rozładować napięcie, oczywiście obracając wszystko w żart. – Nikt oprócz ciebie nie ma odwagi postawić się ojcu, miło jest wreszcie popatrzeć, jak ktoś ustawia go do pionu.

Bezgłośnie mu dziękuję, a na moich ustach pojawia się cień uśmiechu. Ściskam Charlotte pod stołem za rękę, ponieważ wiem, że te słowa musiały najbardziej odbić się na niej. Jest z nas wszystkich również najbardziej wrażliwa.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Kiwa niemrawo głową. – Po prostu... chyba nie potrafię tak łatwo jak wy o tym mówić. – Rzuca serwetkę na stół. – Było pyszne. Przepraszam, ale chyba pójdę już do siebie.

Wzdycham, odczuwając ukłucie wyrzutów sumienia. Moje myśli jednak wędrują wokół innego tematu. Gdy patrzę na mamę, która nie chce złapać ze mną kontaktu wzrokowego, mam nieprzyjemne dreszcze rozchodzące się po moich plecach.

– Mamo? O jakim gościu dzisiaj wspominał tata?

– Mało o nim wiem. – Zatapia wzrok w dnie kubka od herbaty. – I nie dopytuj, proszę. Brakuje ci cierpliwości, a przez to, co powiedziałaś, będziesz musiała poczekać do wieczoru.

Gestem ręki pokazuje, że przekręca kluczyk i wyrzuca go za plecy, a ja piorunuję ją wzrokiem. Cudownie. Mama, w swoich nienagannie ułożonych blond włosach i z uśmiechem godnym kota z Cheshire, rzuca mi jedynie spojrzenie, które zapowiada jedno. Że ten wieczór będzie dla mnie zarówno pokutą, jak i karą.

Nie mogę się doczekać.

– Z panienką, Panno Wilson, zawsze się przyjemnie robi interesy.

Ściskam mocno rękę Mitchella, który przystawia sobie następnie moją dłoń do ust, całując jej wierzch. To wysoki Meksykanin, chodzący w eleganckich garniturach, co w porównaniu z jego fizycznym wyglądem kontrastuje dość „imponująco”. Na przykład teraz, gdy ukazuje mi swoje poślizgnięte i powybijane zęby, a w moim żołądku niebezpiecznie otwiera się jakaś szuflada.

Nigdy nie mieliśmy z nim problemów, jeśli chodzi o przełamanie koki przez granicę, ale za każdym razem, kiedy spoglądam w jego piwne oczy, mam wrażenie, jakby czało się w nich szaleństwo. Albo może po prostu tak wygląda człowiek, który bierze prochy do śniadania zamiast kawy.

– Mnie również, Mitchell. Odezwe się do ciebie w takim razie za dwa tygodnie.

– Możesz nawet szybciej. Niedługo będę miał coś nowego,

u nas zaczyna się rozchodzić jak świeże bułeczki w piekarni, więc nie pożałujecie.

– Prześlij ofertę do Tylera, przemyślimy temat.

Daję swoim ludziom znak do zbiórki i bez większego przedłużania zaczynamy się poruszać szykiem w stronę konwoju. Droga do domu zajmie nam jakieś dwie godziny jazdy, więc w międzyczasie dzwonię do kilku naszych dealerów z informacją o dostawie towaru oraz do wuja, aby przygotował nam więcej broni do planowanego skoku na teren Zachodu w środę.

W środku samochodu panuje kompletna cisza, gdy przemieszczamy się ulicami Dallas, a mój umysł jak zwykle podsuwa mi milion scenariuszy oraz wątpliwości. Im bliżej jesteśmy domu, tym gorsze mam przeczucia, co ma przynieść dzisiejszy wieczór.

Kiedy wreszcie jesteśmy na miejscu, mam zamiar pomóc chłopakom z towarem, ale patrząc na zegarek, wybałuszam oczy. Ojciec mnie naprawdę zabije. Biegiem puszczam się w stronę schodów, gdy uświadamiam sobie, która jest godzina. Piętnaście minut na wyszykowanie się dla kobiety jest realne, prawda?

Wpadam jak burza do swojego pokoju i jestem wdzięczna, że moje skrzydło jest oddalone najbardziej od głównej jadalni, gdzie wydajemy bankiety. Dzięki temu po drodze natykam się jedynie na pokojówkę.

Ściągam po drodze prze poczone ubrania i rzucam je na pluszowy biały dywan. Potem biorę najszybszy i najzimniejszy prysznic w moim życiu, nie czekając, aż woda się nagrzej. Ręcznik ledwo dotyka mojej skóry, gdy w podskokach do szafy próbuję się osuszyć. Przypłacam to oczywiście mękami, bo usiłuję się wbić w elegancką czerwoną sukienkę za kolano, mając wilgotną skórę.

Spinam swoje długie, kasztanowe włosy w wysokiego koka, a na twarz nakładam jedynie tusz do rzęs oraz eyeliner, aby podkreślił moje ciemne, brązowe oczy. Szpilki łąpię w dłoń, aby się nie zabić na schodach i dopiero przed wejściem do sali zakładam je

na stopy. Uspokajam oddech i punktualnie o dwudziestej pierwszej wchodzę dumna z siebie, że udało mi się wyrobić na kolację.

Wszystkie oczy zwracają się na mnie, a pierwsze co zauważam, to ulga na twarzy rodziców. Mama podchodzi do mnie z napiętym uśmiechem na ustach, jak zwykle nienagannie wyszykowana w czarną suknię sięgającą do ziemi.

– Cieszę się, że zdążyłaś. – Całuje mnie w policzek, przystawiając twarz do ucha. – Postaraj się zachować dzisiaj spokój, cokolwiek się tutaj wydarzy. Pamiętaj, kim jesteś, i głowa w górę.

Staram się nie pokazać po sobie konsternacji i z pokerową miną mój wzrok wędruje po zgromadzonych. Nie widzę jednak żadnych nieznajomych twarzy.

– Gdzie nasz gość?

– Za tobą.

Głos mężczyzny niesie się za moimi plecami, a ja z ciekawością się odwracam, napotykając postać wysokiego bruneta, którego nigdy nie widziałam na oczy. Ma kwadratową szczękę, jednodniowy zarost i bystre, szare oczy.

– Nie mieliśmy okazji się poznać. – Wyciąga do mnie dłoń. – Jestem Rhys Marloy.

Marloy? Z tej rodziny Marloy? Chyba musiał wyczytać coś z mojej twarzy, ponieważ uśmiecha się ze spokojem, nie cofając dłoni.

– Nie TEN Marloy. Jestem jego młodszym bratem. To on będzie brał udział w *Comitii*.

Niech to szlag. Co on tu robi? I czemu ojciec na to pozwala? Nie łamię, co prawda, zasad kodeksu, ale sam tak bardzo za każdym razem uczułał mnie na to, żebym strzegła swojej tożsamości za wszelką cenę.

Już wyjaśniam – otóż jeśli chodzi o część kodeksu dotyczącą wyborów, to oprócz tego, że może brać w nich udział tylko osoba połączona więzią krwi z dominusem, istnieje również postulat

mówiący o tym, że dziedzice poznają się oficjalnie na organizowanym przez Krąg balu, tydzień przed wieczorem, kiedy mają stoczyć walkę na śmierć i życie.

Ma to na celu ograniczenie wcześniejszych „eliminacji”. To tak zwane „zabezpieczenie” dla nas, abyśmy nie chcieli odnaleźć się wcześniej i zabić w „przypadkowych” okolicznościach. Tak, to ironia. W naszym świecie nic nie dzieje się przypadkiem.

To właśnie dlatego nikt nie zna tożsamości innego dziedzica. Już od dziecka byłam uczona, aby nie zdradzać nikomu, kim jestem i skąd pochodzę. Oczywiście między dystryktami dochodzi do inwigilacji, ale tego nie sposób uniknąć. Dlaczego więc ojciec łamie naszą świętą zasadę? Co prawda nie poznaje mnie z osobą, z którą będę walczyć w dniu *Comitii*, ale przecież to jego brat! Może mnie spokojnie komuś opisać, znaleźć, a nawet zabić. W mojej głowie grzmi jedno wielkie hasło: *CO DO CHOLERY*, gdy w końcu się otrząsam i podaję naszemu gościowi dłoń.

- Victoria. Chociaż myślę, że to już wiesz.
- Nie zaprzeczam, trochę już o tobie słyszałem.
- Tych dobrych czy tych złych rzeczy?
- Więcej dobrych, zdecydowanie. Nikt mnie jednak nie uprzedził, że jesteś taka piękna.

Pąsowieję lekko na ten komplement. Zanim robi się odpowiednio niezręcznie, mój ojciec chociaż raz zachowuje się tak, jak tego potrzebuję, i przerywa naszą wymianę zdań, zapraszając wszystkich do stołu. Przyglądam się osobom podążającym za Marloyem i oceniam zagrożenie. Wyglądają jak zwykli ochroniarze. Jest ich pięciu – dwóch zostaje przy drzwiach, a trzech ustawia się przy oknach. Bez problemów bym ich rozbroiła, nawet korzystając tylko z zastawy, która lśni na stole.

Służące wnoszą jedzenie, gdy zasiadamy na miejsca. Siadam jak zawsze po prawej stronie ojca, a mama po lewej. Brakuje mojego rodzeństwa, ale może, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, to

i dobrze. Rhys siada obok mnie, a naprzeciwko niego mężczyzna, który okazuje się jego kuzynem o imieniu Alton.

Początek kolacji jest wręcz... nudny. Mężczyźni rozmawiają o interesach, a ja z całych sił próbuję siedzieć spokojnie. Spoglądam z każdą minutą coraz częściej na zegarek, niecierpliwiąc się. Jeśli tak dalej pójdzie, to odgryzę sobie język. Nie chcę jednak przynieść wstydu rodzicom.

– U nas pogoda nie jest taka łaskawa jak u was. – Słyszę jak Rhys zwraca się do mamy, odpowiadając na zadane przez nią pytanie. – Taka odmiana naprawdę jest przyjemna.

– To ona była powodem, dla którego postanowiłeś uciec i nas odwiedzić? – wykorzystuję okazję, aby nie pytać wprost.

I tak długo udało mi się nic nie mówić.

– Właściwie to nie. – Spogląda kątem oka na mojego ojca, a potem odstawia whiskey na stół. – Przyjechałem po to, aby...

– Rhys przyjechał, aby nas wesprzeć. – Christopher nie daje mu dokończyć.

– Przepraszam, nie rozumiem. W jakiej sprawie? – dopytuję.

– Nie jest to tajemnicą, że ostatnio mamy dużo strat w naszym oddziale, a ataki nie ustają, tylko przybierają na sile. To samo dzieje się w klanie Marloyów.

To fakt, ale jaki ma to związek z...

– Doszliśmy z ojcem Rhysa do pewnego porozumienia. – Spuszcza na chwilę wzrok z mojej twarzy, a on nigdy tego nie robi. Cholera. To nie będzie nic dobrego. – Powinniśmy się zjednoczyć, aby sobie pomagać i móc się bronić przed Zachodem. W ostatnich latach za bardzo urosli w siłę, na co im pozwoliliśmy. Teraz musimy jakoś naprawić ten błąd.

Prostuję się mimowolnie, od razu przyjmując bojową postawę.

– W jaki sposób się zjednoczyć?

– Poprzez małżeństwo.

Piszczy mi w uszach. Nie jestem głupia i już wcześniej

powinnam się zorientować, o co chodzi. Pierwszą moją myślą jest proste i stanowcze: nie. A drugą: że oni wszyscy są nienormalni.

– Przepraszam? – staram się nie podnosić głosu. – Czy wy wszyscy nie zapomnieliście o jednym drobnym szczególe?

– Małżeństwo odbyłoby się po wyborach.

– Jeśli nie zginę, a co, jeśli jednak?

– Wtedy Charlotta wyjdzie za jego brata, jeśli wygra. Oboje macie duże szanse i jesteście dla nas nadzieją.

Te słowa jeszcze chyba bardziej mną wstrząsają niż to, że ja miałabym poślubić człowieka siedzącego obok mnie.

– Charlotta ma szesnaście lat!

– Poczekamy wtedy, aż osiągnie pełnoletność. Aranżowane małżeństwa w naszym świecie są dość częste; nie wiem, skąd wynika twoje oburzenie, ale myślę, że gdy na chłodno przemyślisz sprawę, zrozumiesz, że robimy to wszystko dla naszych ludzi. Jesteśmy za nich odpowiedzialni i musimy brać ich bezpieczeństwo na swoje barki. My jako przywódcy musimy być gotowi do poświęceń.

To się nie dzieje naprawdę. Odwracam się w stronę... właściwie kogo? Mojego przyszłego narzeczonego? Odnajduję jego spojrzenie, rzucając swoim wzrokiem gromy w jego kierunku.

– Mógłbyś żyć z kobietą i wziąć ją za żonę, wiedząc, że zabiła twojego brata?

– To nie jest takie czarno-białe, jak sądzisz. – Jego stoicki spokój już mnie wkurza. – Jesteście do tego zmuszani i zdaję sobie sprawę, że to brzemię nosicie od dziecka. Nie macie wyboru, a to zmienia postać rzeczy. Nie mógłbym mieć tego nikomu za złe, skoro na szali stoi wasze życie.

Czuję, jakbym się miała zaraz udusić. To koszmar, z którego zaraz się wybudzę. To nie tak, że liczyłam na małżeństwo z miłości. Ono bardzo rzadko ma szansę u nas zaistnieć, ale miałam nadzieję, że chociaż ten jeden wybór będzie należał do mnie.

– Wybaczcie – mówię, nie patrząc na nikogo, po czym wstaję. – Ale faktycznie macie rację. Muszę to przemyśleć na chłodno. Sama. Dziękuję jeszcze raz za kolację.

Na szczęście, i o dziwo, nikt po drodze mnie nie zatrzymuje. Nie wiem, jak bym zareagowała, gdyby ktoś próbował. Pewnie wbiłabym mu widelec w tchawicę. Uderzenie gorąca rozchodzi się po moim ciele, gdy stawiam kroki coraz szybciej w stronę ogrodu.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, chłodne powietrze dociera do moich płuc. Jednak nie koi moich nerwów. Robię więc kompletnie głupią i pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy – wskakuję do znajdującego się przede mną basenu.

Wiem, że woda jest zimna, ale tego nie czuję. Wiem, jak się nazywam, ale już nie wiem, kim naprawdę jestem. Nurkuję głęboko, dotykając rękoma dna, i dopiero gdy brakuje mi powietrza, wypływam na powierzchnię, biorąc upragniony łyk tlenu.

Opieram się łokciami o brzeg basenu i wydaję z siebie jęk frustracji. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić, ale w tym miejscu na pewno nie dojdę do żadnych logicznych wniosków, ponieważ racjonalne myślenie poszło właśnie na spacer, a w moich żyłach krąży jedynie gniew.

Wychodzę z basenu dopiero w momencie, gdy robi mi się zimno. Na jednym z leżaków dostrzegam ręcznik, którym się osuszam, a na drugim – ubrania Jasona. Wszystkie kolejne ruchy wykonuję mechanicznie. Ściągam sukienkę, a wkładam na siebie bluzę i dresy brata. Mimo że jest młodszy, to już wielki jak dąb, dzięki czemu ciuchy leżą na mnie całkiem nieźle. Spoglądam następnie na wysoki murek oddzielający naszą posiadłość od strony ogrodu. Wyzwanie przyjęte.

„Tequilo! Moja kochana tequilo!” – tak mam ochotę zaśpiewać, wpatrując się w dno pustej trzeciej szklanki.

Po tym, jak wydostałam się za mur posiadłości, podążyłam pieszo wzdłuż drogi, aż dotarłam do przystanku autobusowego, a stamtąd busem do centrum przylegającego paręnaście kilometrów dalej miasteczka.

Bar Stodoła ma swój klimat. Utrzymany w typowo amerykańskim starym klimacie z czerwonymi kanapami oraz obrazami Marilyn Monroe na ścianach. I mają najlepszą tequile, jaką do tej pory piłam.

To ona sprawiła, że siedzę tutaj bez kompletnych wyrzutów sumienia już którąś godzinę z rzędu. Nie miałam ochoty dzisiaj pozbywać się gniewu dzięki treningowi, ale alkohol trochę ostudził moje emocje. Jutro zacznę przejmować się resztą.

– Poproszę jeszcze jedną!

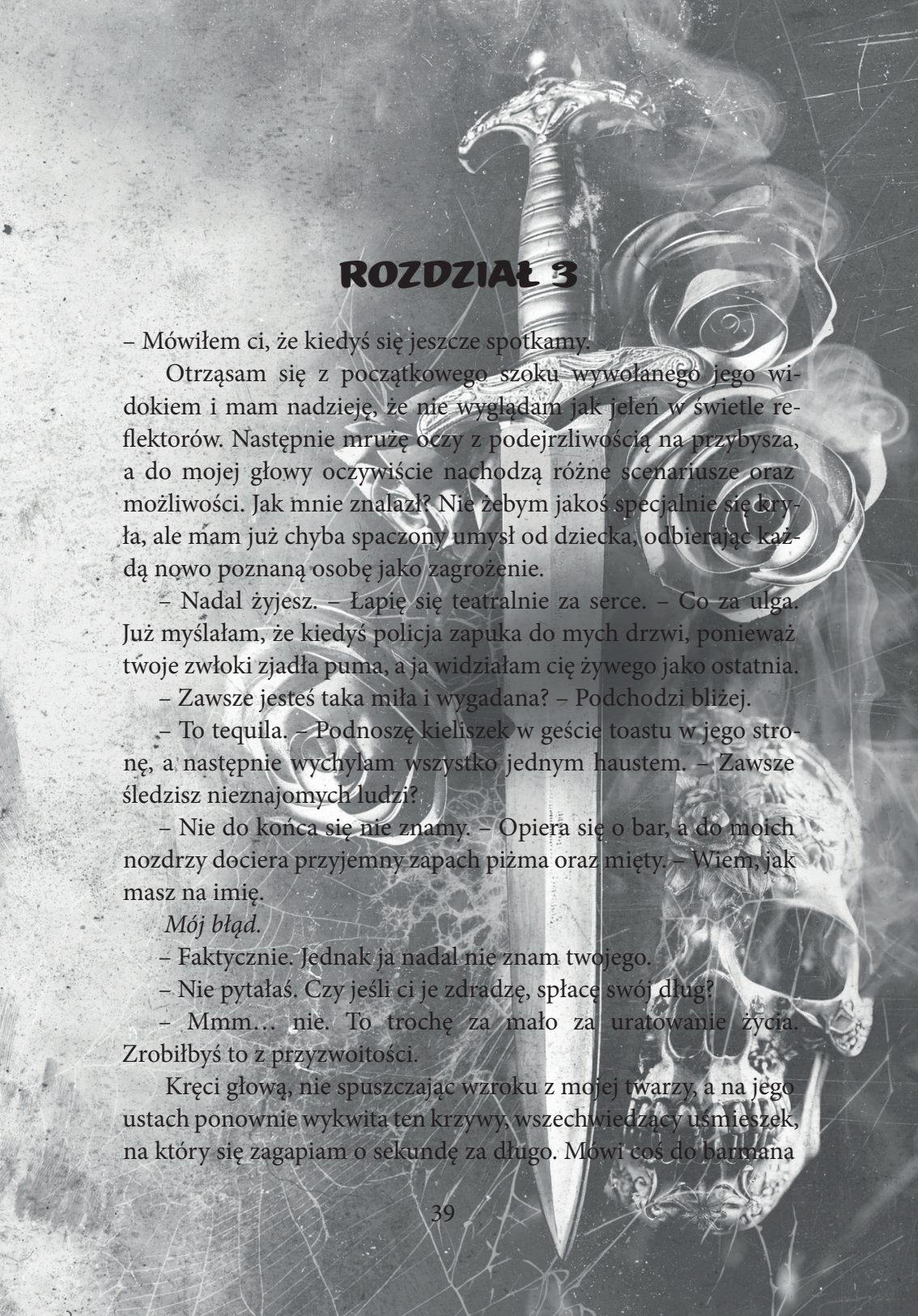
Barman pokazuje mi kciuki w górę, a ja spoglądam na zawieszony nad barem telewizor. Lakersi akurat grają z Chicago Bulls i uświadamiam sobie, jak dawno nie oglądałam zwykłej rozrywki w telewizji. Za długo.

Rozkoszuję się kolejną szklanką tequili, która sprawia, że już lekko huczy mi w głowie, a potem dołączam do tłumu buczonego na drużynę, która właśnie trafiła do kosza.

– Ja tam akurat jestem za Lakersami.

Nigdy nie sądziłam, że którykolwiek głos jednym zdaniem będzie potrafił tak wpłynąć na moje ciało. Automatycznie zmysły mi się wyostają, na ciele pojawia się gęsia skórka, a cała tequila, którą w siebie wlałam, wyparowuje. Odwracam się na stołku barowym w stronę miejsca, z którego napłynął głos, i natrafiam na roześmiane, zielone tęczówki oraz krzywy uśmieszek sprawiający, że po moim ciele rozlewa się jakieś nieznanne uczucie gorąca.

– W końcu cię znalazłem, aniele.



ROZDZIAŁ 3

– Mówiłem ci, że kiedyś się jeszcze spotkamy.

Otrząsam się z początkowego szoku wywołanego jego widokiem i mam nadzieję, że nie wyglądam jak jelen w świetle reflektorów. Następnie mrużę oczy z podejrzliwością na przybysza, a do mojej głowy oczywiście nachodzą różne scenariusze oraz możliwości. Jak mnie znalazł? Nie żebym jakoś specjalnie się kryła, ale mam już chyba spaczony umysł od dziecka, odbierając każdą nowo poznaną osobę jako zagrożenie.

– Nadal żyjesz. – Łapię się teatralnie za serce. – Co za ulga. Już myślałam, że kiedyś policja zapuka do moich drzwi, ponieważ twoje zwłoki zjadła puma, a ja widziałam cię żywego jako ostatnia.

– Zawsze jesteś taka miła i wygadana? – Podchodzi bliżej.

– To tequila. – Podnoszę kieliszek w geście toastu w jego stronę, a następnie wychylam wszystko jednym haustem. – Zawsze śledzisz nieznajomych ludzi?

– Nie do końca się nie znamy. – Opiera się o bar, a do moich nozdrzy dociera przyjemny zapach piżma oraz mięty. – Wiem, jak masz na imię.

Mój błąd.

– Faktycznie. Jednak ja nadal nie znam twojego.

– Nie pytałaś. Czy jeśli ci je zdradzę, spłacę swój dług?

– Mmm... nie. To trochę za mało za uratowanie życia. Zrobiłbyś to z przyzwoitości.

Kręci głową, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy, a na jego ustach ponownie wykwita ten krzywy, wszechwiedzący uśmiešek, na który się zagapiam o sekundę za długo. Mówi coś do barmana

znajdującego się za moimi plecami, a gdy w jego dłoni ląduje szklanka, stuka nią o moją.

– Colton. Uznajmy to za początek nowej, pięknej przyjaźni.

Colton. To już zawsze coś.

– Skąd ten pomysł, że ta znajomość potrwa dłużej niż te dwa przypadkowe spotkania?

– Mam talent do dobrych przeczuć... i ludzi. – Sięga po coś za moimi plecami, a po chwili w zasięgu mojego wzroku pojawia się taca z burgerami oraz frytkami. – Zapraszam.

– Skąd pomysł, że do ciebie dołączę? – wymierzam pytanie w jego plecy, gdy oddala się w stronę stolika ustawionego w rogu pomieszczenia.

– Ponieważ nie masz nic lepszego do roboty? Ponieważ jeśli chcesz więcej pić i nie wylądować zarzygana w krzakach, powinnaś coś zjeść? Ponieważ jestem przystojny i czarujący? Poza tym ten mecz jeszcze trochę potrwa, więc przyda się lepsze towarzystwo niż dno pustej szklanki. Jeśli na chociaż dwa z tych trzech pytań odpowiedź brzmi „tak”, to powinnaś posadzić ten swój seksowny tyłek naprzeciwko mnie i przestać patrzeć, jakbym miał cię zgwałcić, a potem rozczłonkować i sprzedać organy.

Co. Za. Typ. Nie poświęcając mi więcej uwagi, siada przy stoliku i zaczyna rozkładać jedzenie. A ja siedzę nadal jak kołek na tym stołku, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jakkolwiek mężczyzna rozłożył mnie tak na łopatki samymi słowami. I czy chcę to przed samą sobą przyznać, to pierwszy raz od dawna czuję... cokolwiek. Coś innego niż brak kontroli i poczucie beznadziejności sytuacji, w jakiej utknęłam w swoim życiu. Czuję... zaintrygowanie.

Mam wrażenie, że moje nogi podejmują decyzję za mnie, ponieważ jestem już w połowie drogi, gdy orientuję się, co robię. Siadam wygodnie po drugiej stronie, a potem kradnę frytkę z jego talerza, uświadamiając sobie, jak mało dzisiaj zjadłam.

- Było tak trudno?
- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Musiałam sprzedać swoją duszę.
- Ałć. Jeszcze żadnej kobiety nie musiałem prosić, aby z takim trudem zjadła ze mną kolację.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. Poza tym nie jem z tobą kolacji, tylko faktycznie doszłam do wniosku, że nie mam nic lepszego do roboty i masz jedzenie. Trochę wywarłabym złe pierwsze wrażenie, gdybym wylądowała w krzakach.
- I to są te dwa powody, które cię przekonały?
- Zajmuje mi dokładnie sekundę, aby się domyślić, o co mu chodzi. Prędeż najem się szkła, niż mu przyznam, że jest przystojny i czarujący. Co za dużo to niezdrowo i takie tam. Poza tym za bardzo podoba mi się to przekomarzanie się z nim. To miła... odmiana od codzienności.
- Upierdliwy? To być może. – Łapię w ostatnim momencie frytkę, zanim odsuwa tacę poza zasięg moich rąk. – No więc? Jak mnie znalazłeś?
- Uwierzysz, jak ci powiem, że śniłaś mi się po nocach, a przeznaczenie zrobiło swoje i postawiło mnie prosto pod twoje drzwi?
- Parskam jak świnia.
- Błagam cię. Z bajek dawno wyrosłam.
- Rozpiera się wygodnie, zakładając ramiona na czerwoną kanapę i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jaki jest wielki. Obejmuje prawie całą szerokość mebla, a skórzana kurtka, którą ma na sobie, rozciąga mu się na ramionach, odsłaniając białą koszulkę pod spodem. Wypycha językiem policzek, a trybiki w jego głowie zaczynają się obracać, niemal jestem w stanie je usłyszeć.
- Zabrakło ci języka w gębie, książę? – pytam, gdy wpatruje się we mnie zbyt długo, przewiercając oczami na wylot. Zamawiam w międzyczasie kolejną kolejkę.
- Zastanawiam się, na ile mogę być z tobą szczery.
- Do tej pory nie byłeś?

– Byłem. Ja nigdy nie kłamię. Po prostu boję się powiedzieć coś nieodpowiedniego, ponieważ cię nie znam i może faktycznie zadzwonisz po policję i oskarżysz mnie o stalking, czy coś w tym stylu. Już chyba wolałbym zostać pożarty przez tę pumę.

I wtedy wydarza się ostatnia rzecz, której spodziewałabym się tego wieczoru. Wybucham szczerym śmiechem, odrzucając głowę w tył i czując się normalnie. Jak zwykła dwudziestoczteroletnia kobieta, która je kolację z nieznajomym i upija się tequilą, jakby nie czekały ją za to żadne konsekwencje. A jutro pewnie poszłaby do nudnej pracy do biura, a potem nakarmiła dwa grube koty i obejrzała kolejny sezon „Bridgertonów”, opychając się chipsami. Chcę nią być przez jeden wieczór i ciągnąć ten nierealny obrazek, ile się da.

– Przepraszam. – Ocieram łzę z kącika oka. – To chyba alkohol.

– Nie przepraszaj, tylko rób to częściej. – Opiera się łokciami o blat, przysuwając się bliżej, aż mogę zobaczyć pojedyncze piegi na jego nosie. – Więc może pytanie za pytanie?

– Śmiało.

– No więc może faktycznie cię trochę szukałem, pytałem, ale wiesz co? – Przechyliła głowę na bok. – Bardzo ciężko jest cię znaleźć. Myślałem, że w tych czasach każdy ma social media lub cokolwiek, a ty jakbyś nie istniała. To właściwie trochę cud, że kręciłem się po okolicy i akurat zobaczyłem, jak wysiadasz z busa. I tutaj zacznie się mrocznie, bo chwilę cię śledziłem, aby zobaczyć, gdzie idziesz, z nadzieją, by ukraść chwilę twojego czasu. Dobrze, że akurat poszłaś do baru. Teraz moja kolej. Co robisz tu sama w środku nocy i dlaczego taka kobieta jak ty musi sama zapijać smutki?

Dlaczego teraz tak dotkliwie zdaję sobie sprawę ze swojego wyglądu? Nigdy mi na tym nie zależało. Poza tym, biorąc pod uwagę dzisiejszy lub w sumie już wczorajszy wieczór, kiedy zakładałam dresy mojego brata, martwienie się o swój wygląd, to było ostatnie, o czym myślałam. Dlaczego więc teraz, pod jego

spojrzeniem, odrobinę się wiercę, próbując poprawić obszerną bluzę, a nieuporządkowany, półmokry kok aż zaczyna swędzieć mnie na głowie?

– To już dwa pytania – chrząkam, starając się ułożyć w głowie odpowiedź, która nie będzie kłamstwem, ale wymijającą prawdą. Szczerość za szczerość. – Mało udana kolacja rodzinna i różnica poglądów. Wiesz, jak to się mówi, z rodziną dobrze tylko na zdjęciach, nie? Dodaj do tego kontrolującego ojca, który chce ułożyć ci życie, plus ciężki tydzień w pracy. Czasami trzeba w końcu od tego uciec. A szklanka nie ocenia, dlatego jestem tu sama. Twoje zdrowie. – Wznoszę toast. – Abyś do końca wieczoru nie żałował, że zaprosiłeś mnie do swojego stolika.

– Myślę, że to był najlepszy pomysł, na jaki ostatnio wpadłem. Wiem doskonale, jak kuszące jest pragnienie ucieczki od tego całego gówna. – Ostatnie zdanie mówi ciszej, a coś ciężkiego zasnuwa jego oczy, ale znika zbyt szybko. – Dziękuję za odpowiedź. Twoja kolej.

Myślę nad kolejnymi pytaniami, jakie chciałabym mu zadać, ale do mojej głowy wpada jeszcze jeden głupi pomysł, którego zapewne jutro będę żałować. Ale wycisnę z tego wieczoru, ile się da, ponieważ nie mam pojęcia, czy będę miała jeszcze okazję przeżyć coś podobnego. Pora podkręcić trochę tempo.

– Ile jesteś w stanie wypić, aby mnie pokonać?

Una mattina mi sono alzato, E ho trovato l'invasor, O partigiano portami via.

O bella ciao, bella ciao, bella ciao ciao ciao...

Śpiewam, wychodząc na rześkie poranne powietrze,

a właściciel baru rzuca mi pobłażliwe spojrzenie, gdy zamyka za nami drzwi. Mam nadzieję, że za bardzo się nie obraził, bo mam zamiar kiedyś tu wrócić. Za nasze długie wyjście obwiniam oczywiście Coltona, ponieważ nie chciał odpuścić mi w rzutki. Wystarczy, że wygrał ze mną w bilard. Chociaż w jednym musiałam być lepsza.

– Wiesz, że był remis, prawda?

– Możesz mnie cmoknąć. – Wyrzucam oskarżycielsko w jego stronę jeden palec. – Ja wygrałam.

– Niech ci będzie – wzdycha, potykając się o kamień. – Ja za to wygrałem w bilard. Dwa razy.

– Ten drugi się nie liczy, bo oszukiwałeś.

– Ktoś tu nie umie przegrywać.

– *Touché*.

Nie mam bladego pojęcia, ile kolejek wypiliśmy, ale muszę przyznać, że Colton to niezły przeciwnik. Mimo tego, że teraz lekko się chwieje i tak trzymał fason całą noc. Mija swój motocykl, który zdążył mi już dziś pokazać, a potem zwala się jak słoń na trawę, siadając na niej.

– Co zamierzasz zrobić? – Podchodzę do niego, czując, jak głowa zaczyna mi pulsować, co niechybnie zwiastuje ogromnego kaca.

– Przecież nie wrócę w tym stanie do domu. Zbyt kocham to cacko, aby się rozbić o przypadkowe drzewo.

– Nie masz nikogo, aby cię stąd zabrał? – Kolejny raz w trakcie tego wieczoru, a już raczej poranka, rodzi mi się w głowie pytanie: – Jak w ogóle dotarłeś ostatnim razem do domu?

– Przyjaciół wyświadczył mi przysługę. Zaraz wytrzeźwieję, nie chce mu ponownie zawracać dupy. Znowu będzie się mądrzył.

– Skąd ja to znam.

Spogląda na mnie z ziemi, mrużąc jedno oko przez wschodzące słońce.

– Za ile masz pierwszy autobus? Bardzo mi przykro, że cię nie odwiozę, ale sama doprowadziłaś do tej sytuacji.

– Jeszcze kwadrans.

Siadam obok niego na mokrej ziemi i wpatruję się w mój ulubiony obrazek. Poranek to moja ulubiona pora dnia. Zamykam oczy, chłonąc chwilową ciszę wokół mnie, zanim wrócę do domu. Promienie ogrzewają mi twarz, a ja myślę... o niczym. To błogie uczucie.

– Gdzie odpłynęłaś?

Jego głos dobiega z bliska. Zbyt bliska. Czuję na moim policzku jego gorący oddech i to też chłonę całą sobą, starając się zapamiętać ten moment. Otwieram oczy, a przechylając głowę w jego stronę, prawie ocieram się o jego pełne wargi, które jeszcze przed chwilą szeptały mi do ucha.

– Nic nie może się równać z tym widokiem.

Marszczy brwi.

– Ze wschodem słońca – wyjaśniam. – To mój ulubiony moment w ciągu dnia. Zapowiada nowy początek oraz nowe szanse.

– Często go oglądasz?

– Tak często jak tylko mogę. Nikt z nas nie wie, kiedy taki widok zobaczy po raz ostatni. Ja staram się oglądać codziennie.

Nic nie mówi, ale sprawia wrażenie jakby mnie rozumiał. Spogląda na pomarańczowe słońce, wschodzące na niebie, i naśladuje moje ruchy, pozwalając sobie zatopić się we własnych rozmyślaniach.

Nie żegnam się z nim. Nienawidzę pożegnań. To oznacza zakończenie pewnego etapu, a ja chcę ten dzień zatrzymać w szufladce „dobre wspomnienia”, gdy nadejdą gorsze momenty. Dlatego, gdy autobus podejżdża na przystanek, po prostu odchodzę, nie oglądając się za siebie.

Nie mogę tego zrobić. Ponieważ wiem, że chciałabym tam z nim zostać. A jak już mówiłam: z bajek dawno wyrosłam.

Pogrzeb Claya odbył się zgodnie z planem we wtorek na pobliskim cmentarzu i mocno dał mi w twarz, tak że z mocnym łupnięciem wróciłam na ziemię. Zwłaszcza widok jego pograżonej w żałobie żony oraz małej córeczki Jocelyn sprawił, że przypomniałam sobie, dlaczego i po co jestem w tym miejscu.

Powinnam być wsparciem dla moich ludzi. Ich filarem oraz siłą, która będzie ich prowadzić naprzód. I zapewni im bezpieczeństwo. Nasz klan to nie tylko zlepek morderców i przemytników. Bierzemy również pod opiekę całe rodziny, dając im pracę oraz dom. Czas pokazać im, że nie jesteśmy bezradni i nie jesteśmy zwierzętami dla innych, aby bezkarnie mogli nas wybijać. I zabierać ojców bezbronnym dzieciom.

To właśnie twarzyczka małej Jocelyn majączy mi na skraju umysłu, gdy zakładam kuloodporną kamizelkę, zapinając rzepy wokół żeber. Moje ulubione noże przypinam sobie do ud, a czarnego, zimnego glocka chowam sobie za pas.

Sprawdzam jeszcze raz liczbę amunicji, przerzucając jeden z karabinów za plecy, a drugi przeładowuję w momencie, gdy do środka pomieszczenia wchodzi Tyler.

- Wow, szefowo! – Unosi ręce w górę. – Mam wyjść?
- Jeśli jesteś jednym z Zachodu, to lepiej uciekaj – warczę. – Jeśli nie, to myślę, że masz szansę przeżyć.
- Zanotowane. Gotowa?
- Jak nigdy wcześniej. Inni gotowi?
- Czekają na twoje rozkazy.

Łapię drugi karabin w dłoń, a mój długi warkocz kołysze się za mną, gdy ruszam w stronę mojego oddziału czekającego przy pięciu czarnych SUV-ach. Gdy docieram na miejsce, na twarzach zebranych malują się żądze mordu. Dzielimy razem ten sam ból, żal oraz chęć zemsty. Mój ojciec przed misją zawsze wyrzuca z siebie potok

motywujących słów, ja uważam, że to zbędne.

– Każdy z nas zna dokładnie swoją rolę w dzisiejszej misji. Wiecie, dokąd zmierzamy i jak to może się skończyć.

Wszyscy zgodnie przytakują głowami, a ciszę przerywa jedynie cichy szum drzew.

– Za Claya. Niech Las Vegas spłynie dziś krwią.

Rozlega się wrzawa, gdy wszyscy wokół wznoszą okrzyki nakręcające do walki. Wsiadam do pierwszego auta, a do mnie dołącza Ty wraz z pięcioma innymi mężczyznami. W drugim aucie wiem, że znajduje się Ava i że doskonale rozbroi nam wejście do jednego z budynków, w którym rodzina Turnerów przechowuje sporą część swojego utargu oraz prochów. To nic osobistego. Po prostu oko za oko.

Podróż jest dość długa albo tylko mi się tak wydaje. Przez całą drogę jakaś niespokojna energia próbuje się ze mnie wydostać, a stopa podryguje w rytm jednej z melodii, którą dodałam ostatnio do swojej playlisty. *You don't own me*. Mam nadzieję, że łowy dzisiaj będą bogate i będę miała się z kim pobawić, gdy wrócę do domu.

Kiedy docieramy na miejsce, wszyscy są w stanie jak najwyższej gotowości. Każę swojej ekipie czekać do momentu, aż na mojej komórce wyświetla się wiadomość od Avy: **gotowe**. Na moich ustach pojawia się uśmieszek zwiastujący koszmar. Otwierają się boczne drzwi, przez które wypadamy na nocne powietrze.

Poruszamy się zgodnie w szyku, jak byśmy ćwiczyli to tysiące razy oraz cicho jak myszy w kościele. Otaczamy budynek z każdej strony, aby żaden człowiek ze środka nam nie uciekł. To nie my skazaliśmy ich na śmierć tylko ich dowódca. Odliczam do trzech, a następnie daję znak, że możemy wchodzić.

Przed moimi oczami widzę tylko czerwień, czuję tylko chłód karabinu w dłoni. Rozlegają się pierwsze strzały, a wewnątrz rozpoczyna się piekło. Pierwszy strzał oddaję w mężczyznę przy

barierce, który spóźnił się o sekundę, by skrócić Tylera o głowę. Potem mój wzrok przykuwa mężczyzna za wielką beczką, który kuca akurat, aby przeładować broń. Trzeciego zabijam nożem, gdy wpada na moje plecy, próbując mnie powalić. Czwarty dostaje kolejnym sztyletem prosto w gardło ze znacznej odległości. Przestaję liczyć, ponieważ potem to do mnie wróci, ale ostatniemu skręcam kark, kiedy próbuje udusić jednego z moich żołnierzy.

Czerwona mgła się rozprasza i wokół nastaje prawie idealna cisza, przerywana jedynie pojedynczymi jękami ocalałych. Wokół roznosi się metaliczny zapach krwi, a ja wciągam go w płuca jak narkotyk. To właśnie dlatego tak kocham wschody słońca. Dla zachowania psychicznej równowagi. Słońce, cisza, mokra trawa pod stopami. Śmierć, krew oraz ciężka woń prochu.

– Szefowo?

Za mną rozlega się głos generała Foleya. Odwracam się, aby zobaczyć, że ciągnie za sobą dwóch niedobitków. Jeden z nich stracił oko, a drugi trzyma się za bok. Widocznie kula utknęła mu gdzieś w okolicy żeber.

– Zgodnie z rozkazami. Zostało dwóch. Sprawdziliśmy resztę, nikt nie żyje.

– Dziękuję, generale.

– Skurwysyny, nie macie pojęcia, z kim zadarliście. – Ten po lewej spluwa krwią prosto na moje buty.

Pochylam się nad nim, łapiąc go za kosmyki, aby doskonale widzieć jego twarz.

– Myślę, że to wy nie macie pojęcia, w jakie gówno wdepnęliście, zadzierając z nami.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Twoim najgorszym koszmarem – szepczę mu do ucha, pochylając się nad nim. Wyczuwam delikatną woń strachu. – Wystarczy nam jeden – zwracam się do Foleya. – Drugiego zabij.

– A co z pieniędzmi?

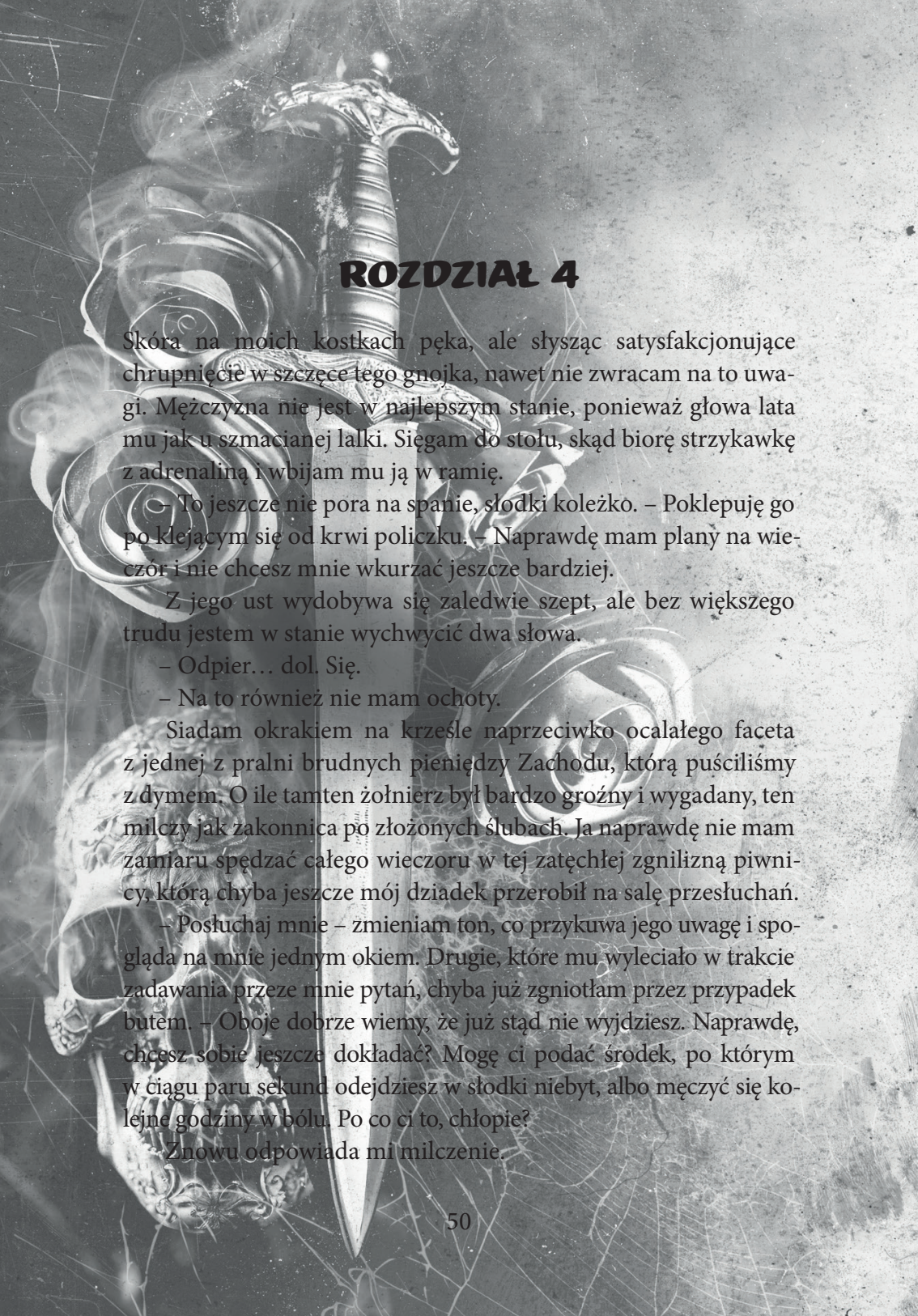
– Spalcie je. Tak samo jak całą tę budę.

Oddalam się w stronę wyjścia, stąpając po strugach krwi lejących się po betonie.

– Cień was wszystkich zabije!

Odwracam jedynie głowę, aby widzieć kątem oka gościa, który przed chwilą jeszcze był taki pewny siebie, a teraz zaczyna się trząść jak osika.

– Tak? Przekaż mu, proszę, że będę na niego czekać. – Widzę cień nad jego głową, na co się uśmiecham. – A nie, wybacz... – rozlega się huk wystrzału – ...nie będziesz miał okazji.



ROZDZIAŁ 4

Skóra na moich kostkach pęka, ale słysząc satysfakcjonujące chrupnięcie w szczękę tego gnojka, nawet nie zwracam na to uwagi. Męczyzna nie jest w najlepszym stanie, ponieważ głowa lata mu jak u szmacianej lalki. Sięgam do stołu, skąd biorę strzykawkę z adrenaliną i wbijam mu ją w ramię.

– To jeszcze nie pora na spanie, słodki koleżko. – Poklepuję go po klejącym się od krwi policzku. – Naprawdę mam plany na wieczór i nie chcesz mnie wkurzać jeszcze bardziej.

Z jego ust wydobywa się zaledwie szept, ale bez większego trudu jestem w stanie wychwycić dwa słowa.

– Odpier... dol. Się.

– Na to również nie mam ochoty.

Siadam okrakiem na krześle naprzeciwko ocalałego faceta z jednej z pralni brudnych pieniędzy Zachodu, którą puściliśmy z dymem. O ile tamten żołnierz był bardzo groźny i wygadany, ten milczy jak zakonnica po złożonych ślubach. Ja naprawdę nie mam zamiaru spędzać całego wieczoru w tej zatęchłej zgnilizną piwnicy, którą chyba jeszcze mój dziadek przerobił na salę przesłuchań.

– Posłuchaj mnie – zmieniam ton, co przykuwa jego uwagę i spogląda na mnie jednym okiem. Drugie, które mu wyleciało w trakcie zadawania przeze mnie pytań, chyba już zgmiotłam przez przypadek butem. – Oboje dobrze wiemy, że już stąd nie wyjdiesz. Naprawdę, chcesz sobie jeszcze dokładać? Mogę ci podać środek, po którym w ciągu paru sekund odejdiesz w słodki niebyt, albo męczyć się kolejne godziny w bólu. Po co ci to, chłopie?

Znowu odpowiada mi milczenie.

Wzdycham, odchylając głowę do tyłu i próbuję nie wpaść w szal, ale ten drań mi nie pomaga. Próbowалам już wszystkiego, a naprawdę nie chcę narobić tu zbędnego bałaganu. Trzeba przyznać, że ci faceci są ze stali. Już niejednego złamałam w tej sali, ale ten tutaj ma niesamowity hart ducha.

- Kiedy macie zamiar znowu uderzyć? Gdzie jest twój szef?
- Teraz z jego ust wydobywa się śmiech wymieszany z bulgotaniem.
- To nie jest odpowiedź, której oczekuję, a kolejny raz nie zapytam.
- Bo zadajesz niewłaściwe pytania.
- Może mnie w takim razie oświecisz, co masz na myśli?

Wierci się na krześle, ale przez związane kostki oraz ręce poprawia pozycję ledwie o centymetry. I zaczyna mi się przyglądać po raz pierwszy od momentu, kiedy moi chłopcy wrzucili go tutaj na rzeź.

– Nie jesteś zwykłym żołnierzem, nie? – Spluwa, przy okazji wyrzucając z ust jednego z zębów. – Widziałem kobiety, które też zajmują się brudną robotą, więc nie jesteś żadnym wyjątkiem od reguły... ale jednak. – Cmoka. – Jesteś wyjątkowa, nie? Dowódca? *Chapeau bas*. Ciekawe komu musiałas dać tam wyżej, żeby zająć w hierarchii tak wysoko, chyba że jesteś...

W jego oczach zapala się błysk zrozumienia, a szeroki uśmiech rozświetla twarz, przez co wygląda jak przeklęty joker. Gwiżdże.

– Nieźle stary Wilson wykonał robotę. Aż troszeczkę żałuję, że nie będę widział, jak Cię rozwała twoje ciało na kawałki.

– Macie w niego wszyscy niezachwianą wiarę, co? Jeszcze nie poznałeś moich wszystkich możliwości oraz zdolności, więc nie wydawałabym przedwcześnie takich opinii.

– Za dużo widziałem w swoim życiu, w tę jedną rzecz możesz mi uwierzyć. On jest potworem, więc jeśli masz jakikolwiek wybór, to lepiej się zaszyj w jakiejś dziurze i z niej nie wychodź przez kolejne... kilkadziesiąt lat.

- Dzięki, nie skorzystam. Skoro już ci się tak gęba otworzyła,

to może w końcu przypomnisz sobie moje pytania i skończymy w miłej atmosferze tę znajomość, co?

Zanim z jego ust padnie odpowiedź, ja widzę już wszystko w jego spojrzeniu. Akceptację. Pokonanie. Dumę. Odrobinę żalu. Zero strachu.

– To będzie zaszczyt, księżniczko.

Niech więc tak będzie. Przysmykam oczy dosłownie na sekundę, ponieważ wiem doskonale, co teraz muszę zrobić. Myślałam jednak, że tego uniknę dzisiejszego wieczoru. Podchodzę do stołu, gdzie stoi pełno narzędzi oraz broni. Następnie wyciągam z szuflady słuchawki, nakładam je na uszy i się wyłączam. Chowam głęboko w sobie ostatnie cząstki człowieczeństwa i staję się kimś zupełnie innym. To będzie po prostu jak kolejny sen. Przerzucam playlistę, wybierając ostatecznie piosenkę *Bye Bye Bye* NSYNC. Potem biorę długi sztylet ze stołu i zaczynam tańczyć, rozpoczynając robotę.

Tak jest łatwiej. Nie słyszę ich krzyków. Błagań. Ani agonii, gdy rozcinam każde ścięgno po kolei. Gdy łamię kości i spuszcza krew. To tak, jakbym włączała swoją inną osobowość jak w filmie „Split”. Majstersztyk. Zawsze wiem, kiedy odchodzą. Zawsze muszę usłyszeć ich ostatni oddech na rzecz swojej pokuty. Jestem ostatnią osobą, którą widzą przed śmiercią. Jestem im to winna, aby usłyszeć ostatni dech, jaki z siebie wydają.

Wyciągam nóż z brzucha mężczyzny po zadaniu ostatniego ciosu. Jego oczy są szeroko otwarte, ale widzę w nich już powoli pojawiającą się ulgę. Zadziwia mnie jego siła, gdy zamiast jedynie oddechu jest w stanie coś jeszcze powiedzieć.

– To... ty... jesteś Rzeźnikiem.

Z jego ust wypływa struga krwi, a ciało robi się wiotkie, gdy umiera. Zamykam mu dłońią oczy, a potem wychodzę z pomieszczenia, dając znak chłopakom czekającym przy drzwiach, że mogą zacząć sprzątać.

To fakt. Nie tylko tamtemu dziedzicowi udało się zdobyć przydomek. Ja też go dostałam trzy lata temu. Ojciec chyba myślał, że w ten sposób mnie zahartuje oraz przygotuje do ostatecznej walki w dniu *Comitii*. Nigdy jednak nie sądziłam, że tego dnia będę musiała własnymi rękoma wybić cały konwent Meksykanów na ich granicy.

Wieść o rzezi dosyć szybko się rozeszła w naszych kręgach, a potomek wielkiego Christophera Wilsona dostał przydomek Rzeźnik. Większość osób uświadamia sobie, że to ja, dopiero w ostatnich chwilach przed śmiercią. Spoglądam w kamerę, salutując w geście dobrze wykonanej roboty, ponieważ wiem, że ojciec z pewnością to sobie później obejrzy.

Wybór. Wybór to bzdura. Mrzonka, w którą większość osób wierzy, aby poprawić sobie humor i się nie załamać, aby udawać, że mamy kontrolę nad swoim życiem. W momencie urodzenia z góry mamy rozdane karty, które sterują naszym losem. My możemy jedynie próbować je potem rozegrać na naszą korzyść. Ja nigdy nie miałam wyboru. Teraz staram się ustawić pionki na planszy w taki sposób, abym to ja robiła szach-mat. Dlatego już wiem, co muszę zrobić.

Zwalniam kroku przy wyjściu z piwnicy, czując po swojej lewej stronie czyjąś obecność. Atakuję jak kobra i wyciągam dłoń, łapiąc za gardło osobę kryjącą się w cieniu przy schodach i przy-ciskam ją do ściany.

– To ja, kurwa! – Jason łapie mnie za nadgarstek, próbując złapać powietrze. – Weź mnie puść, bo się zleję ze strachu w gacie.

– Posrało cię! Co ty tu robisz?

Puszczam go natychmiast, a on zaczyna łapać powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Dzięki Kill Bill, trochę byłoby słabo, zginąć z rąk własnej siostry.

– Jakbyś cały czas wszędzie nie węszył i nie podsłuchiwał, nie

byłoby problemu. – Krzyżuję ręce na piersiach i stoję na szeroko rozstawionych nogach, dając mu znać, że nigdzie nie pójdzie. – Gadaj.

– Ale co?

– Jajco. Czego się dziś dowiedziałeś?

– Skąd pomyśł, że coś wiem? – W jego oczach migają wesołe chochliki. – Może jestem tu tylko dlatego, że chciałem nasycić się krzykami tego nieudacznika?

Uderzam go otwartą dłonią w tył głowy.

– To było pierwsze ostrzeżenie. My nie kłamiemy. Co wiesz i co chcesz w zamian, kochany, mały braciszku?

Uwielbia, kiedy się w ten sposób do niego zwracam. I zgodnie z oczekiwaniami na jego twarzy pojawia się wyraz żądzy mordy. Jednak mój widok całej we krwi sprawia, że chłopak się zatrzymuje i odchodzi od pomysłu zaatakowania mnie. Szkoda.

– Ty zawsze byłeś taka mądra? – pykuje, a moja ręka po raz drugi wystrzela do przodu. – Dobra, stop. Już jestem poważny. – Rozgląda się po pograżonym w mroku korytarzu, czy na pewno jesteście sami. – Okej, więc byłem w gabinecie ojca...

– Gdzieś był?

Przysięgam, że moje serce zatrzymuje się przez jedną sekundę.

– No bądź cicho, bo zaraz ktoś tu przyjdzie. Tak wiem, że nie wolno tam bez jego zgody wchodzić. Daruj sobie wykład, chyba że nie chcesz wiedzieć, czyjej rozmowy byłem tam świadkiem.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale i tak tam trafię, więc co mi tam.

– Dawaj.

– No więc byłem w środku i nie pytaj, proszę, dlaczego, bo nie chcę ci tego mówić i nie chcę również kłamać. To nic, co by komukolwiek zaszkodziło. Nagle usłyszałem, że ktoś się zbliża, więc się schowałem, a do środka wszedł ojciec z Tylerem.

– Ty? A co on od niego chciał?

- Wysłała go na front na Zachód.
- W jakim celu? – W mojej głowie rozpoczyna się gonitwa myśli.
- Jako szpiega. W dużym skrócie. – Opiera się luzacko o ścianę, a ja widzę tylko cień, padający na jego mocno zarysowaną szczękę. – Ma się trochę rozejrzeć, ponieważ ojciec jest zniecierpliwiony, że nic na nich nie mamy.
- Czyli z góry założył, że nasz jeniec nic nam nie powie i że dzisiejsze przesłuchanie mi się nie powiedzie. W mojej piersi rozgrzewa się fala goryczy i złości. To do mnie powinien przyjść z taką propozycją, a nie wciągać w to moją prawą rękę. Zaciskam dłonie w pięści, gotowa ruszyć do jego gabinetu, aby to wszystko wyjaśnić, ale wtedy zdradziłabym obecność Jasona w tym miejscu. Niech to szlag.
- Mam dla ciebie propozycję.
- Słyszając to zdanie z naprzeciwnika, wyginam z ciekawości brew.
- A brzmi ona?
- Być może nie uczestniczę z wami we wszystkich akcjach, ale dużo obserwuję. Ty jesteś moją siostrą i mimo że czasy, kiedy bawiliśmy się w wojnę na drewniane miecze już dawno minęły, to jednak znam cię – robi dramatyczną pauzę, abym przetworzyła w pełni jego słowa. – Nie odpuścisz tego tematu i jestem na dziewięćdziesiąt procent pewny, że pojedziesz za Tylerem, aby go śledzić i sama zbadać temat. I tu wchodzi ja cały na białą.
- Jesteś ostatnią osobą, którą widziałabym w tym kolorze.
- Przemilczę to, że jesteś w głównianym humorze. Potrzebujesz mnie, a ja ciebie.
- Prycham mu totalnie nieelegancko prosto w twarz.
- Doprawdy? Skąd wyciągasz takie wnioski?
- Ponieważ tylko ja wiem, gdzie dokładnie i o której Tyler będzie w Las Vegas. Zanim ty zdążysz się tego dowiedzieć, już będzie po wszystkim. Od ojca nigdy tego nie wyciągniesz.

Trybiki w mojej głowie prawie wypadają z kolejki, kiedy uświadamiam sobie, że dzieciak może mieć rację. Staję z nim twarzą w twarz, prawie stykając się nosami.

– A co ty chcesz w zamian?

– Musisz zabrać mnie ze sobą.

– Nie ma mowy.

– A ja myślę, że nie masz wyboru. Czas ci się kończy, bo twój żołnierz już wyruszył.

Nienawidzę być stawiana pod ścianą, ale jeśli on ma rację, to faktycznie mogę stracić okazję, aby dowiedzieć się szczegółów tej akcji.

– Za dziesięć minut widzę cię na dole w Camaro. Resztę opowiedz mi po drodze.

Zimna skóra opinająca siedzenie w aucie chłodzi moją rozgrzaną od adrenaliny skórę na plecach. Założyłam na siebie w pośpiechu czarne, czyste spodnie i krótki top, a na tył auta rzuciłam jeszcze skórzaną kurtkę, ponieważ noc jest wyjątkowo chłodna.

Spoglądałam na brata siedzącego obok, który zawzięcie gra w jakąś gierkę na telefonie, a jedynym znakiem, że jeszcze oddycha, są pojedyncze przekleństwa wylatujące z jego ust, co jakiś czas.

– Będę tego żałować – mamroczę pod nosem, skupiając się ponownie na drodze przed sobą.

– Nie przesadzaj. Będzie fajnie... Kurwa! Znowu mnie trafił.

Łapię jego telefon i wyrzucam na tylne siedzenie.

– To nie było miłe – wzdycha.

– Miłe by było, jakbyś w końcu mi powiedział, po co, do cholery, chcesz się znaleźć na ich terytorium.

– Wyłączyłaś nadajnik przy silniku?

– Nie bierz mnie za amatorkę i nie próbuj odwrócić mojej uwagi od tematu, bo zaraz cię stąd wyrzucę.

– Jesteśmy póki co na środku... niczego.

– I myślisz, że tego nie zrobię? – Nie odrywam nawet wzroku od drogi, gdy na mojej twarzy pojawia się szatański uśmiech.

Widzę, jak kątem oka nagle zaczyna się wiercić niespokojnie na siedzeniu.

– Niestety wiem, że jesteś do tego zdolna – wzdycha, waląc potylicą w zagłówek. – No dobra, ale to zostaje między nami.

– Amen.

Następuje długa chwila ciszy i gdy już myślę, że faktycznie będę go musiała wysadzić na środku pustyni i zadzwonić po oddział, aby zabrali stąd jego chudą dupę, on w końcu się odzywa.

– Moja przyjaciółka potrzebuje pomocy.

– Jakim cudem masz przyjaciół po tamtej stronie?

– Z Internetu.

Pisk opon jest ogłuszający, gdy moja noga gwałtownie wciska pedał w podłogę. Łapię go za kark, próbując nim potrząsnąć.

– Chcesz mi powiedzieć, że ryzykujesz życiem, włączając na terytorium wroga dla jakiejś laski poznanej w necie?!

– Nie rozumiesz! – Strząsa moje ręce. – To nie jest moja dziewczyna ani nic. Nie jadę tam, żeby ją wyruchać, tylko żeby jej pomóc na tyle, ile mogę.

– Albo mi w tej chwili powiesz wszystko od A do pieprzonego Z, albo cię poćwiartuję.

Do moich uszu dociera odgłos głośno przełykanej śliny ze strony Jasona. Próbuję opanować mój wybuch gniewu, głęboko oddychając. Mój brat bardzo rzadko się denerwuje, a to oznacza, że ta sprawa musi być dla niego naprawdę ważna. Zamieniam się w takim razie w słuch.

– W wolnym czasie, aby się zwyczajnie odmóżdżyć po tych wszystkich zajęciach i treningach, siedzę sobie na TeamSpeaku i gram. Dla ciebie to może być dziecinne, mając na względzie, jak nasza rodzina funkcjonuje, ale nadal jestem tylko szesnastoletnim

chłopakiem. Potrzebuję po prostu przez chwilę poczuć się, no wiesz... zwyczajnie.

Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię rozumiem, braciszku.

– Nieważne. – Macha dłonią niedbale. – Poznałem tam Sofię. Dobrze nam się gadało, mam wrażenie, że ona też w pewien sposób znalazła ucieczkę od swoich problemów. Tylko że gdy na jakiś czas zniknęła, myślałem, że to coś na zasadzie „złamał mi się paznokieć i mam traumę”, albo „dostałam okresu”. Gdy jej nieobecność się przedłużała, to musiałem po prostu sprawdzić, czy na pewno wszystko w porządku.

– W jaki sposób?

– Wiesz, że dla mnie to nie problem, aby dostać się gdziekolwiek zechcę. Parę kliknięć myszą i jestem w stanie dostać się do połowy kont ludzi w Stanach. Kamery w urzędach. To pestka. A włamanie się na czyjeś konto w celu pozyskania informacji bez większych zabezpieczeń i podłączenie się do kamerki laptopa, z którego korzysta? Nawet się nie spościłem. Szczęście w nieszczęściu akurat gdy się włamałem, to korzystała z urządzenia. Tylko że... nie spodziewałem się... tego.

Zaciska zęby tak mocno, aż słyszę tarcie zębów, a ja wiem, że to nie będzie kolejna bajka na dobranoc.

– Ojciec ją wykorzystuje, gdy jej matka wychodzi do pracy.

– Skurczysyn.

– To mało powiedziane. Ona na to nie zasługuje, nie ma sensu opowiadać szczegółów całego zajścia, ale Sofia nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc. A ja nie robiąc nic, czuję się jak... nawet nie wiem, co powiedzieć. Muszę chociaż spróbować.

– I co masz zamiar zrobić? Po prostu tam wejść i kazać mu przestać, czy od razu chcesz mu wsadzić kulkę w łeb?

– Nie mam pojęcia – wzdycha. – Jak dostanie chociaż pięścią w mordę, to już będzie coś.

Patrząc na jego zboląłą minę, nie śmiem go uświadamiać, ile

jego postępowanie ma luk oraz ile może ta akcja przynieść niespodziewanych komplikacji. Cieszę się jednak, że dzieciak ma nadal dobre serce, a ojciec nie wydarł z niego całego człowieczeństwa.

– Pomogę ci.

– Naprawdę?!

– Tak – potwierdzam, po czym odpalam ponownie silnik. – Wykończę tym sposobem limit jednego dobrego uczynku na ten miesiąc.

Ruszamy z piskiem opon w dalszą drogę. Po dwudziestu minutach zjeżdżamy na stację benzynową w celu uzupełnienia paliwa, a ja przy okazji sprawdzam adres dziewczyny. To na szczęście niedaleko miejsca, do którego według Jasona kieruje się Tyler.

Do tej pory nie wiem, co mam o tym myśleć. Czuję się wewnętrznie zdradzona, ale dam mu szansę, mając w głębi serca nadzieję, że Ty nie miał czasu mi o tym powiedzieć. Wykonuje tylko rozkaz. Jeśli jednak postanowi to przede mną zataić, to inaczej wyjaśnię sobie z nim tę sprawę.

Gdy dojeżdżamy na obrzeża Las Vegas, jest już prawie środek nocy. Przyglądam się mijanym budynkom z zainteresowaniem, ponieważ byłam w tym miejscu tylko raz jako nastolatka. GPS wskazuje mi, abym skręciła w lewo między bloki, sygnalizując po paru metrach, że jesteśmy na miejscu. Okolica wydaje się mało przyjemna. Pełno puszek walających się przy klatce schodowej i dealer z dredami niedaleko przystanku autobusowego nie wskazują na to, aby to była dobra dzielnica dla młodej dziewczyny.

Jason wyskakuje z auta w stronę wejścia, a ja nawet nie pytam, skąd wie, pod jaki numer mieszkania powinniśmy się kierować. W biegu zarzucam kurtkę na plecy i gdy docieramy do drewnianych drzwi z numerem dwanaście, brat mnie zatrzymuje.

– Mogę cię jednak poprosić, abyś została tutaj na zewnątrz i popilnowała drzwi?

– Chyba żartujesz.

– Nie. – Jego ton jest zupełnie poważny. – Przemyślałem to sobie po drodze i chciałbym zrobić to sam. Zaufaj mi. Przecież wiesz, że dam sobie radę. Tylko go nastraszę, a nie chcę, aby Sofia pomyślała, że to jakiś napad. Mnie zna, a ciebie nie.

– To nie są przekonujące argumenty. – Kręcę głową na jego pomysł.

– Po prostu zrób to dla mnie. Jeśli usłyszysz coś niepokojącego, to możesz go nawet zabić. Mało mnie to obchodzi.

W mojej głowie pojawia się co najmniej sto scenariuszy, co mogłoby pójść nie tak. I w pierwszym odruchu mam ochotę wsadzić go do auta i sama to załatwić, ale potem do głowy nachodzi mi myśl, że jeśli mnie zabraknie, to on musi się zahartować na tyle, aby potem przejąć obowiązki głowy rodziny. Będzie musiał radzić sobie sam.

– Masz dokładnie pięć minut. Ani sekundy dłużej. Potem wchodzę.

Kiwa mi jedynie głową, a potem puka do drzwi. Słyszę kroki, a potem widzę tego skurczysyna jedynie przez ułamek sekundy, dopóki Jason nie wpycha go z impetem do środka, zatrzaskując drzwi. Całkiem nieźle, młody.

Opieram się o barierkę schodów niedaleko drzwi, rozglądając się po klatce schodowej, cały czas jednocześnie nasłuchując dźwięków dochodzących z mieszkania. Sprawdzam telefon, a drugą dłoń wkładam do kieszeni kurtki, natykając się na kawałek kartki. Z początku myślę, że to może jakiś stary paragon albo zgnieciony banknot, ale kartka wydaje się całkiem świeża. Rozkładałam ją, odczytując słowa napisane zamaszystym charakterem pisma:

W razie gdybyś chciała ponownie uciec i potrzebowała towarzystwa.

Pod spodem jest zapisany numer telefonu. Colton? Tylko jego twarz pojawia mi się w myślach. Przypominam sobie, że spotykając się wtedy z nim, również miałam na sobie tę kurtkę. Kiedy

udało mu się niepostrzeżenie wsunąć tę kartkę do mojej kieszeni?

Cały tydzień wypierałam nasze spotkanie z głowy. Myślenie „co by było, gdyby” sprawiało, że stawałam się rozkojarzona, na co nie mogłam sobie pozwolić. Nie oznacza to jednak, że marzenia nie pukały do mych drzwi, a tęsknota za normalnością nie rozsadzała mi serca. Jego przystojna twarz pojawiała mi się przed oczami w najmniej oczekiwanych momentach oraz przeważnie gdy chciałam pójść spać, a moje myśli miały wtedy nieprzyjemny zwyczaj zrywania się ze smyczy.

Uśmieciam się do siebie pod nosem i robię coś, czego nie powinnam. Chowam karteczkę z powrotem do kieszeni, zamiast ją wyrzucić. Akurat w idealnym momencie, ponieważ z mieszkania wychodzi właśnie Jason. Jedynymi śladami, że coś w ogóle wydarzyło się w ciągu ostatnich pięciu minut, jest jego przekrzywiona czarna koszula i smuga krwi na lewym policzku.

Zatrzymuję go za łokieć, gdy szarżuje wprzód z mordem w oczach, nawet na mnie nie patrząc.

– Ej... wszystko w porządku? – Zmazuję mu kciukiem krew z policzka tak jak mama za każdym razem, gdy ubrudziłyśmy się przy śniadaniu. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie trzeba. Już zrobiłaś i tak dużo, że mnie tu przywiozłaś. Dziękuję. – Widać, że nie ma w tej chwili ochoty na rozmowę. Nawet na mnie nie patrzy. – Chodźmy już, bo przegapimy przyjazd Tylera.

Nie mam zamiaru na siłę dążyć do tematu. Byłabym pod tym względem hipokrytką, ponieważ sama nienawidzę takiego rodzaju przesłuchań. Ostatni raz spoglądałam na drzwi z numerem dwanaście, zza których przez szparę spoglądają na mnie przerażone łanie oczy. Kiwam dziewczynie głową, mając szczerą nadzieję, że jej się ułoży. Odchodzę, kierując się w stronę wyjścia, aby załatwić kolejną sprawę, od której mogą zależeć kolejne moje kroki.

Tylera znajdujemy niedaleko klubu Sodoma. Nie mając

na sobie munduru, wygląda zupełnie inaczej. W koszuli w kratę sprawia wrażenie zwykłego obywatela szukającego okazji na zabawę w mieście grzechu. Całkiem nieźle wychodzi mu udawanie pijanego, przez co ma przez chwilę problemy z wejściem do środka, ale wystarcza, że macha plikiem banknotów, a ochroniarze, wiedząc, ile mężczyzna może wydać w klubie, wpuszczają go bez zbędnych pytań.

– I co teraz?

To pierwszy raz, od kiedy brat odezwał się do mnie, po wyjściu z tamtego mieszkania.

– Wejdę tam i zobaczę, co knuje. Przy okazji może samej uda mi się powęszyc i coś ustalić.

– To całkiem... czekaj, jak to samej?

Spoglądam na niego jak na idiotę.

– No chyba nie myślałeś, że ze mną pójdziesz. Po pierwsze to niebezpieczne, ponieważ to terytorium klanu. Po drugie jesteś za młody i cię nie wpuszczą. Więc siedź grzecznie na dupie i się stąd nie ruszaj, chyba że chcesz marnować mój cenny czas, wysnuwając beznadziejne argumenty, których i tak nie zaakceptuję.

Wychodzę z auta, nie czekając na odpowiedź. Na wszelki wypadek zamykam drzwi kluczem od auta, aby nie przyszło mu do głowy, aby się stąd ruszać. Jason uderza w szybę, mamrocząc pod nosem, a ja pokazuję mu, że nic nie słyszę. Wyciągam torbę z bagażnika, która zawiera idealne rzeczy na takie właśnie sytuacje. W zaułku zakładam kabaretki pod sukienkę, ściągam kurtkę, podciągając jednocześnie top do góry i odsłaniając bardziej brzuch. Związuję włosy w koka, aby naciągnąć na głowę krótką, blond perukę. Bardziej zdzirowato wyglądać nie będę, ale patrząc na kobiety kręcące się pod klubem, to idealnie wtopię się w tłum.

Do środka dostaję się bez problemu zgodnie z planem. Klub wewnątrz ma surowy, ciemny wygląd. Kelnerki w skąpych strojach lawirują zręcznie między stolikami, rozdając spragnionym klientom

drinki. Nad wielkim parkietem zawieszony jest duży żyrandol, który rozprowadza piękne światło wokół zawieszonych w klatce tanerek. Prawdziwa sodoma. Gdzie w takim razie gomora?

Mój wzrok łąduje na barze, gdzie barmani uwijają się sprawnie z tłumem. Podchodzę bliżej, zwieszając niżej głowę i zasiadam na jednym ze stołków. Przyzywam ręką jednego z barmanów, zamawiając whiskey z colą. Rozglądam się po pomieszczeniu, mając nadzieję, że znajdę sprawnie Tylera. Potrzebuję około pięciu minut, aby w końcu zlokalizować go wyżej w jednej z łóż. Rozmawia z jakimiś mężczyznami odzianymi w drogie garnitury.

Zastanawiam się, czy wśród nich jest ON. Wielki, zły Cień, o którym jedynie się szepcze, a nie głośno mówi. Ciekawi mnie jego postać. Nie ze względu na to, że się go obawiam, ale chcę przypisać jego twarz do wszystkich historii o nim krążących.

Nagle na gorze rozpętuje się zamieszanie, a mój wzrok automatycznie podąża w stronę Tylera. Stoi pomiędzy dwoma roslymi ochroniarzami i unosi ręce w górę, lekko się zataczając dla pozorów. Cholera. Pomysł ojca może okazać się mega fatalny w skutkach. Co, jeśli coś poszło nie tak i domyślili się, że jest wtyką? Wykonają na nim egzekucję na miejscu. Nie mogę na to pozwolić. Ruszam z miejsca jak z procy, aby mu pomóc, wpadając niestety na jakiegoś gościa, który rozlewa na mnie drinka.

– Kurwa, laska, uważaj jak łazisz.

– Odejdź koles. Nie mam czasu.

Próbuję się obok niego przepchnąć, nie zwracając w ogóle uwagi, w jakim stanie jest teraz moja bluzka, ale on ciągnie mnie za łokieć z taką niespodziewaną siłą, aż uderzam z impetem w jego tors.

– Musisz mnie za to ładnie teraz przeprosić. – Oblizuje usta, taksując jednocześnie obślizgłym wzrokiem z góry na dół.

– Zapomnij i znajdź najpierw swój mózg. Albo lepiej określ powód swojego życia, może będzie łatwiej zrozumieć, skąd wpadł ci

do głowy taki absurdalny pomysł, że za cokolwiek cię przeproszę.

Moje słowa wkurwiają go na tyle, że obleśny, mdły wzrok w ułamku sekundy zamienia się w stal. Próbuje się wyrwać na tyle, ile mogę, aby go z marszu nie znokautować i nie wywołać sceny. Nie chcę na siebie ściągać zbędnej w tym momencie uwagi.

– Głupia szmata. – Zacieśnia uchwyt. – Masz przesrane, słońce, i to ostro.

– I co masz zamiar zrobić, mięśniaku, co?

– Pokażę ci zaraz, na co mnie stać, a za te słowa zapłacisz teraz podwójnie. Będziesz błagała, abym przestał.

Moje kolano jest dosłownie centymetr od jego krocza, gdy do moich uszu dociera głos, przez który wszystko staje w miejscu.

– Wypuść ją w tej chwili albo złamię ci każdą kość w całym ciele.

Razem z towarzyszem odwracamy się z napięciem w stronę właściciela głosu, a moje przypuszczenia się sprawdzają. Po mojej lewej całej w czerni stoi Colton. Trzeba mu przyznać, że całą swoją osobą robi niesamowite wrażenie. Począwszy od wysokiej postury, do charyzmy, którą emanuje, wchodząc do pomieszczenia. Każdy w pobliżu zatrzymuje na nim wzrok, czekając na jego kolejny krok.

Mężczyzna, który do tej pory trzymał mnie za łokieć, w nanosekundzie puszcza mnie jak oparzony. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili rezygnuje, puszcżając się biegiem w stronę wyjścia. Interesujące.

– Dziękuję, rycerzu w lśniącej zbroi, ale panowałam nad sytuacją.

Podchodzi do mnie bliżej, nie spuszczając ze mnie swojego przenikliwego wzroku. Pochyla głowę w stronę mojej szyi, zaciągając się zapachem, a mnie otula woń cydru oraz mięty. Mam ochotę przymknąć na chwilę oczy, ale czuję, że nie powinnam spuszczać z niego wzroku.

– Jesteś tutaj.

Mam wrażenie, że jego tembr głosu przechodzi przez całe moje ciało. Począwszy od stóp, kończąc na koniuszkach palców, które zaczynają mnie mrowić.

– Jak widać. – Przełknięcie śliny po raz pierwszy od dawna sprawia mi trudność.

– Skąd się tu wzięłaś, aniele?

Staram się nie zwracać uwagi na pieszczotliwe słowo, które wyszło z jego ust.

– Może ja też cię szukałam?

Prawy kącik jego ust unosi się w wyrazie kpiącego uśmiešku.

– Jakoś w to wątpię. – Przybliżyła się do mnie tak blisko, aż na płatku ucha czuję jego gorący oddech. – Ale wiesz co? Nie obchodzi mnie to, czy właśnie skłamałaś, czy nie. Ważne, że tu jesteś.

– Nie znasz mnie – odpowiadam śmiało, próbując wyrwać się z tej bańki, którą nas otoczył.

– Masz rację. I pierwszy raz w życiu, ktoś zaintrygował mnie na tyle, że chcę mu poświęcić więcej niż pięć minut.

– Wow. Zawsze jesteś taki bezczelny i bezpośredni?

– Wolę określenie szczerzy. Co to w ogóle za zmiana włosów?

Dotyka opuszkami palców końcówek mojej blond peruki i marszczy brwi. W międzyczasie trybiki w mojej głowie pracują jak szalone. Jak mam być z nim szczerza? Ile mogę mu zdradzić? Kim on jest? Ponieważ po reakcji mojego napastnika nie sędzę, że jest zwykłym Amerykaninem, który przyszedł się tutaj zabawić. Poza tym nie powinnam tracić mojego celu z oczu, a właśnie to zrobiłam. Spoglądam za ramię Coltona, ale oczywiście tak jak się spodziewałam, Tyler zniknął. Jedna. Wielka. Cholera.

Druga to zaś taka, że nie potrafię wyrzucić z głowy jego słów. Mają w sobie odrobinę prawdy, ponieważ on również mnie intryguje w zły dla mnie sposób. Odciąga skutecznie moją uwagę od priorytetów, sprawiając, że tracę głowę w nieodpowiednich momentach. Takich właśnie jak ten.

– To peruka. My kobiety ciągle coś lubimy w sobie zmieniać.

Jego usta otwierają się zapewne w zamiarze rzucenia kolejnym szczerym komentarzem, ale nie dane mu jest skończyć. Mężczyzna postawnej postury, ale głowę niższy od niego, pojawia się w zasięgu mojego wzroku, podchodząc do Coltona. Przybysz mówi mu coś do ucha, na co mój towarzysz jedynie potakuje ze zrozumieniem, nie odrywając ode mnie swoich przeszywających, zielonych oczu.

– Dołączysz do mnie? – pada pytanie z jego ust, gdy wyciąga do mnie dłoń skierowaną wnętrzem do góry.

– O co chodzi?

– Muszę coś załatwić, a nie chcę spuszczać cię z oczu. Chcę, żebyś poszła ze mną.

Jego dłoń nadal jest wyciągnięta w moją stronę, a ja mam wrażenie, że decyzja, którą teraz podejmę, nie dotyczy wyłącznie tej nocy. Odnoszę nieodparte wrażenie, że to moment, kiedy kupuję bilet tylko w jedną stronę. Mimo wszystko podaję mu rękę.

Mam jednocześnie nadzieję, że idąc z nim, czegoś się dowiem. O nim. I przy okazji może odnajdę Tylera. Lepsze to niż stanie w miejscu.

Ruszamy przez tłum na drugą stronę klubu, gdzie przy dużych czerwonych drzwiach stoi dwóch ochroniarzy. Na nasz widok bez słowa się rozstępują, otwierając je. Tuż za nimi znajdują się schody prowadzące na jeszcze niższą kondygnację. Ciekawe. Powinnam się bać, ale czuję jedynie ekscytację na myśl, że zapewne przypadkiem znalazłam się bliżej odpowiedzi, które chciałam dziś uzyskać, niż gdybym próbowała wywęszyć coś sama.

W momencie gdy schodzimy do podziemia, moim oczom na środku pomieszczenia ukazuje się duży oktagon, w którym dwóch umięśnionych mężczyzn okłada się pięściami. W pomieszczeniu panuje gwar, głośnością dorównujący koncertom na stadionie lub meczom. Pieniądze przekazywane są z rąk

do rąk w zatrważającym tempie. Kelnerki uwijają się w pocie czoła, lawirując w skąpych strojach między ludźmi.

Colton prowadzi nas do przyległego w rogu baru, gdzie usadowiam się na wysokim hokerze, po tym, jak mężczyzna przegonił jednym ruchem dłoni stamtąd jakiegoś łysego gościa. Moje podejrzenia stają się coraz silniejsze, podstawiając rozwiązanie prosto pod nos.

– Kim jesteś?

Z gracją godną królewskiej kobry przesuwam ku mnie szklankę z bursztynowym płynem.

– Musisz zadać odpowiednie pytanie, aby uzyskać konkretną odpowiedź. Jestem Colton, to już wiesz.

– Cała ta otoczka wokół ciebie... – Zataczam dłonią koło wokół jego osoby górującej nade mną. – Nie jesteś tylko pierwszym zwykłym mężczyzną, który pojawia się tu na drinka.

– To prawda. – Upija łyk alkoholu. – Jestem właścicielem tego miejsca.

To by wyjaśniało to dziwne zachowanie ludzi wokół. Chociaż jestem pewna, że kryje się za tym coś zdecydowanie więcej.

– Victorio. – Porusza się płynnie, a moje imię w jego ustach rozpływa się w powietrzu niczym poranny wietrzyk. – Spędź dziś ze mną więcej czasu. Ciągłe mi gdzieś uciekasz.

– Nie sądzę, że to dobry pomysł – odpowiadam, ale ciało instynktownie przysuwa się w jego stronę.

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteśmy z dwóch różnych światów.

Przechyliła głowę, po czym dotyka mojego policzka. Jego ciepła, silna dłoń wywołuje we mnie dreszcz, którego nie powinnam w tej chwili czuć. Miętowy oddech owiewa moje usta, kiedy sprawdzam moją reakcję, ale ja się nie boję. I się nie cofam, co wywołuje na jej twarzy ponownie ten krzywy uśmieszek.

– Ja za to uważam, że takie coś nie istnieje. To ty jesteś kowalem

swojego losu i to ty każdego dnia, w każdej minucie, w każdej sekundzie kreujesz swoją przyszłość. Nie pozostawiaj takich rzeczy przypadkowi, bo wtedy stajesz się jedynie marionetką. Wiesz, czemu chciałem, żebyś tu ze mną zeszła? Ponieważ chciałem ci pokazać skrawek mojego świata. – Wokół wybucha wrzawa, kiedy wzywają kolejnych zawodników na ring. – Teraz ruch po twojej stronie, aniele.

Moja maska opanowania nie spada nawet na chwilę. W końcu się odsuwa, dając mi zaczerpnąć upragnionego powietrza. Czy ten facet mógł mi zrobić z mózgu jeszcze większą papkę? Wystarczy jego przytłaczająca obecność, a jego słowa sprawiają, że zaczynam podważać wszystko, co było kiedykolwiek wartościwą w moim życiu.

Dopiero w momencie, gdy Colton ściąga przede mną koszulę, a potem zaczyna kierować się w stronę oktagonu, zdaję sobie sprawę, że to jego imię wywołują w podziemiu. To on będzie walczył jako następny. Przy mnie pojawia się mężczyzna, którego widziałam na górze.

- Kazał ci mnie pilnować, czy jak?
- Rozkaz szefa to rozkaz – odburkuje. – To długo nie potrwa.
- To znaczy?
- Jeszcze nigdy nie przegrał. To tylko formalność.

Spoglądam z zainteresowaniem na rozgrywającą się przede mną scenę. Colton wchodzi na ring, jakby robił to już milion razy. Jakby był królem tego miejsca. Patrzy na swojego przeciwnika niczym na robaka przyklepionego do jego buta. Gladiator naprzeciwko niego, bo tak adekwatnie należy nazwać tę kupę mięśni, ugina kolana, z rykiem rzucając się na mężczyznę.

Colton w oktagonie porusza się jak tancerz. Bawi się z przeciwnikiem, tańcząc wokół niego na palcach. Unika z wdziękiem każdego ciosu, bez problemów rozbijając również gardę przeciwnika. Oglądam tę scenę walki z fascynacją, gdy uderza mnie siła oraz zręczność mojego dzisiejszego towarzysza. Porusza się jak

żołnierz. Jak dobrze naoliwiona maszyna gotowa wgnieść każdego przeciwnika w ziemię.

Mój telefon uporczywie wibruje w przyklepionym pokrowcu na moim udzie. Dyskretnie wyciągam go spod kiecki, zauważając pięć nieodebranych połączeń od mojego brata oraz jedną wiadomość wysłaną minutę temu.

Ojciec wie. Znaleźli nasz samochód. Wracam do domu z ochroniarzami. Wracaj, Vic. Szukaj cię.

Kurwa! Kurwa! Kurwa! Moje serce traci uderzenie, gdy na wyświetlaczu pojawia się numer ojca. Wiem, że jeśli nie odbiorę, wyśle tu całą kawalerię i rozpęta wojnę, żeby mnie odnaleźć. Podnoszę tyłek ze stołka w okamgnieniu, czując szarpnięcie za ramię.

– Dokąd się wybierasz, panienko?

– Muszę do łazienki. – Chcę się oddalić od ochroniarza, ale on podąża za mną jak cień. – Serio?

Wzrusza ramionami. Ech. Niech mu będzie. Pytam go o drogę, aby było szybciej. Przed wejściem do damskiej łazienki rzuca mu mordercze spojrzenie, na co wykazuje odrobinę rozumu, zostawiając mnie samą. Kiedy zamykam się w jednej z kabin, od razu wybieram numer ojca.

– Halo?

– Cześć, tato.

W słuchawce zalega cisza, a ja doskonale wiem, że to najgorszy ze scenariuszy.

– Nie tego się po tobie spodziewałem, Victorio. Bardzo mnie zawiodłaś.

Te słowa bolą tak samo, jak gdyby wsadził mi nóż w serce. Zalewa mnie zarówno żal jak i wściekłość.

– Ta sytuacja nie miałaby miejsca, gdybyś był ze mną szczery.

– Słucham?

– Tyler to mój człowiek. To ja mu wydaję rozkazy, nie ty.

– Skąd o tym wiesz? – W jego głosie rozbrzmiewa spokój. Słyszę w tle skrzypnięcie, a następnie odgłos odpalanego papierosa, co oznacza, że jest w gabinecie.

– Zawsze wiem, gdzie są moi ludzie. To oznacza dobrego przywódcę.

– Prawdziwy przywódca – podkreśla z mocą pierwsze słowo – nie naraża dobra sprawy przez zranione ego. Nie muszę ci się tłumaczyć, nie jesteś jeszcze głową rodziny.

– I może w ogóle nią nie będę – wyrывa mi się.

Spoglądam w lustro i nie poznaję kobiety, która się w nim odbija. Kiedyś te oczy były pełne ognia – wiedziały, o co walczyć i znały swoje przeznaczenie. Teraz odbija się w nich ból oraz ogrom wątpliwości.

– Nie poznaję cię, córko.

– Ja siebie również. Mam dosyć bycia całe życie marionetką.

– Nie zachowuj się jak gówniara. Opanuj się i wracaj do domu. Poniesiesz konsekwencje za to, że naraziłaś również swojego brata na niebezpieczeństwo. – Jego ciężki oddech odbija się w słuchawce, co oznacza, że jest na skraju wybuchu. – A potem zrobisz to, co do ciebie należy.

– Co masz na myśli?

– Wyjdiesz za Marloya. – Te słowa sprawiają, że sztywnieję. – A potem odbierzesz to, co nam się należy.

– Rozumiem, że to nie jest prośba.

– To rozkaz.

Coś we mnie w tym momencie pęka.

– Tak jest... szefie.

Rozłączam się, a następnie z wrzaskiem na ustach rozbijam telefon o ścianę. Czuję zaczynający się atak paniki, dlatego ochlapuję twarz zimną wodą. Spotykam spojrzenie swoich brązowych oczu w lustrze, widząc w nich porażkę. Wiem, że gdy wrócę do domu, to będzie koniec. Będę pilnowana do dnia wyborów

jeszcze bardziej niż dotychczas. Spoglądam na swoje drżące dłonie, a świadomość, że ostatnie tygodnie mojego życia mogę spędzić, jakbym była w więzieniu z człowiekiem, którego nawet nie chcę poznać, sprawia, że zaczynam odczuwać po raz pierwszy wewnętrzny bunt.

Jeśli to ma być ostatnia noc, kiedy mogę o czymkolwiek decydować, niech tak będzie.

Wychodzę zdeterminowana z łazienki, prężnym krokiem mijając mężczyznę, który na czas walki miał mnie pilnować. Colton akurat schodzi z ringu ze zwycięskim okrzykiem, gdy przystaję w okolicy baru. Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie właśnie bratam się z wrogiem. Nie mam pojęcia, kim on jest, ale na sto procent jestem przekonana, że jest w jakiś sposób połączony z rodziną Zachodu.

Przepycham się przez tłum, ruszając w jego stronę.

Mam totalnie gdzieś, jakie konsekwencje za to poniosę.

Dziś nie nazywam się Victoria. Pragnę stać się nikim.

I popełniam pierwszy błąd, który doprowadzi do mojego upadku.

W momencie gdy jego roziskrzone oczy mnie odnajdują, łapię go za szyję i przyciskam swoje usta do jego ust.

Oboje za to trafimy już niedługo do piekła.